Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 11 lipca 1937 r. Nr. 28

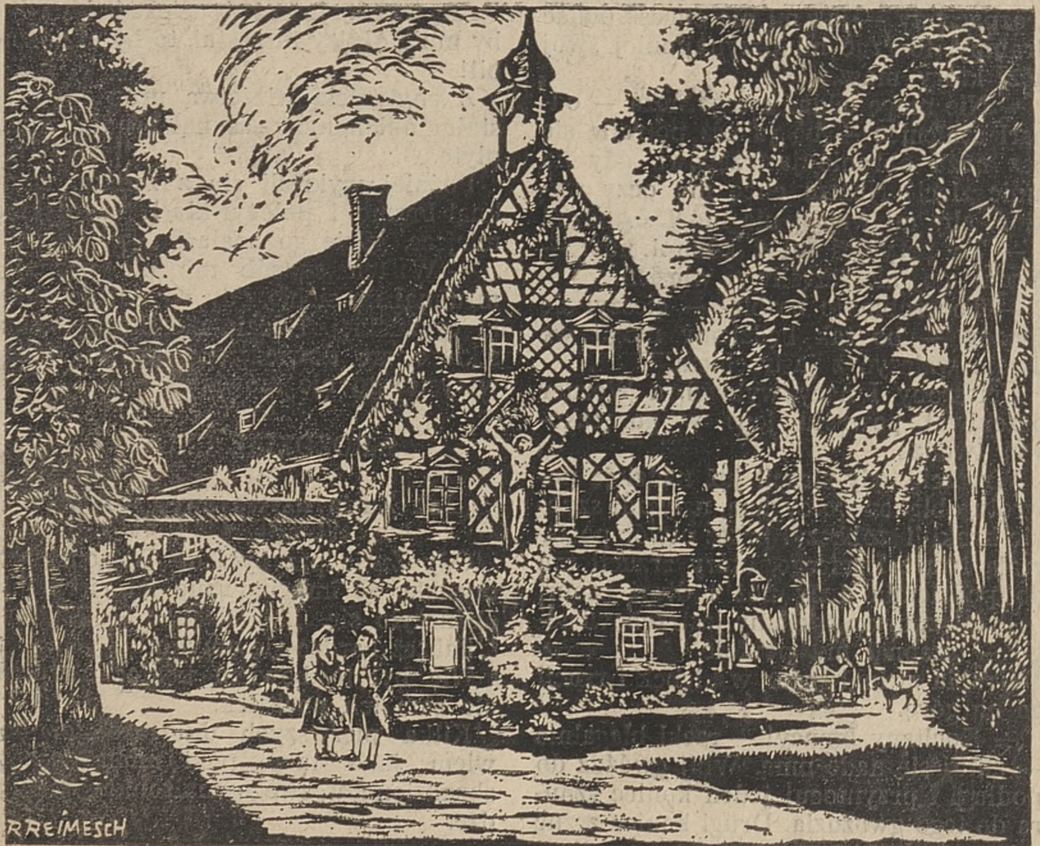
CISZA WIECZORNA

Już cisza, ta upragniona, oto nad miastem się schyla,
Ma oczy takie marzące i skrzydła przejrzyste motyla,
Ma szatkę też powłoczystą ze srebrno - popielatej gazy,
Przychodzi wreszcie wzywana napróżno już tyle razy.

Jedno jej nikłe skinienie wstrzymało auta tramwaje,
Wszystko to gdzieś się podziewa i coś się z tym wszystkim staje,
Ulice robią się puste, milczą nieliczni przechodnie,
Bo cisza wreszcie przychodzi, — należy, przyjąć ją godnie.

Ona zaś spieszy roztoczyć tu miłą, kojącą swą pieczę,
Przychodzi owinąć w swe skrzydła znużone serca człowiecze,
Przychodzi by słówko ci szepnąć słodkie, prze słodkie, miodowe,
I by utulić w ramionach tak skołataną twą głowę.

M. v. Sendlerowa.



WOJCIECH HOLM

39)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Wołając głośno: panno Sylwio, panno Sylwio! przeszedł szybko puste pokoje. Przybywszy do ostatniego, stanął i mruknął:

— Tak, tak, to jest tutaj! O, ja nie jestem idiotą! Ja wszędzie się dobrze orientuję! To jest ostatni pokój, a pod nim znajduje się to podziemne więzienie. Średnia płyta daje się odsunąć. O, ja niczego nie zapomniałem, na dowód odsunę tę płytę na bok.

Ukląkł na podłodze i z trudem zaczął odsuwać ciężką płytę.

Po wielu wysiłkach dopiął swego:

Skoro tylko zobaczył otwór, wsadził weń głowę i zawołał pół płaczliwym, pół śmiejącym tonem:

— Panno Sylwio! Czy pani jeszcze żyje?

Usłyszał z podziemia silny głos męski.

— Na Boga! — mruknął Ignacy — tam na dole jest ktoś, ale jest to jakiś mężczyzna! Hej ty na dole, kim jesteś? — spytał mrugając chytrze oczyma. — Ale mnie nie okłamuj chłopcze, bo w twoje bzdury i tak nie uwierzę. Gdybyś chciał powiedzieć: jestem Ignacy, byłoby to kłamstwem, bo Ignacy jest tu na górze!

— Jestem Werner, hrabia Wildenstein — zawołał więzień głośno i donośnie. Jeżeli chcesz zarobić wiele pieniędzy, to biegnij do leśniczówki w Königswalden, powiedz tam, że ja jestem tu uwięziony!

— Pan hrabia! — zawołał Ignacy — to jest naprawdę pan hrabia! Teraz już wiem co chciałem. Chciałem szukać pana hrabiego, który znikł tak bez śladu z chatki nad wodospadem. A teraz znalazłem i nie potrzebuję już dłużej szukać.

Z przerażeniem spostrzegł teraz hrabia Werner, jak się Ignacy okropnie zmienił cieleśnie, jak również i umysłowo.

— Ignacy! — zawołał błagalnie — w tamtej szafie jest drabina schowana, czy nie mógłbyś mi jej zsunąć do podziemia?

— Dalibóg, że nie! — zawołał Ignacy przestraszony. — Dalibóg, że nie! Nie mogę tego uczynić, bo gdy nadejdzie Ilona, przepiłuje drabinę i pan hrabia upadnie w przepaść. Potem nadleci jastrząb i pokłuje pana hrabiego swoim dziobem, pokaleczy swoimi pazurami drapieżnymi. I posiwieje pan hrabia z tego, tak jak ja posiwiałem. Proszę się na mnie popatrzeć jak przyprószoną mam głowę!

Mówiąc to Ignacy złapał się za głowę i zaśmiał się spazmatycznym śmiechem.

— Dobry, kochany mój Ignacy — prosił go Werner — dręczony okropną obawą — tu nie ma żadnego jastrzębia, któryby mógł być dla nas niebezpieczny. Nie ma też Ilony!

— O, jest! — mruknął Ignacy. — Czy widzi pan hrabia tę małą szarą myszkę? To jest Ilona! Poznałem ją zaraz po jej spiczastych, białych ząbkach. Proszę jej nie ufać, panie hrabio, ona jest tak złą, jak czarownica. Tymi spiczastymi, białymi ząbkami wyssie ona panu krew z serca!

— Kochany Ignacy — szepnął hrabia — otwórz szafę i podaj mi drabinę. Przysięgam ci święcie, że Ilony tu nie ma.

— Czy to tylko prawda — niedowierzał Ignacy.

— Prawda — uspokajał go hrabia — święta prawda! Pośpiesz się na Boga bo będzie za późno!

— Czy jastrząb przyleci? — spytał obłąkany trwożnie.

— Nie, ale ściemni się i ja nie znajdę drogi do leśniczówki! — zawołał Werner, uspakajając go.

— Czy pan hrabia chce odwiedzić panienkę — spytał Ignacy.

— Tak jest — odpowiedział hrabia.

— Ależ panienka Sylwia znikła gdzieś — odparł Ignacy smutnie — nie ma jej i nikt nie wie, co się z nią stało!

— W takim razie muszę ją odszukać — odpowiedział hrabia. Kochany, drogi Ignacy, zlituj się nademną i nad moją straszną męczarnią, a ja ci za to zachowam dozgonną wdzięczność. Będziesz mi drogim bratem!

— O, między braćmi różnie już bywało! — zaśmiał się Ignacy. — Kain zabił swego brata Abla, a Jakub oszukał swego brata Ezopa o prawo pierworodztwa. Silny Marek także zawsze mówi, że jesteśmy wszyscy braćmi. Według tego Ilona powinna być moją siostrą, a przecież Ilona chciała mnie zamordować!

Wspomnienia jego zaczęły się gubić w przeszłości i wobec tego zapomniał o teraźniejszości. Nie słyszał już nawet próśb nieszczęśliwego hrabiego. Dzikim głosem zaczął wyśpiewywać jakąś cygańską melodię i chciał już odejść.

— Ignacy, Ignacy! Na miłość Boską, nie opuszczaj mnie! — zawołał hrabia, zrozpaczony — jak mi nie chcesz podać drabiny, to rzuć mi przynajmniej swój nóż, który masz.

— Nie mogę oddać swego noża — odparł szaleniec — bo jakżeż potrafię się bez noża obronić jastrzębowi, gdy na mnie zleci? Nożem chcę mu oczy wykłuć, aby mi więcej nie mógł szkodzić!

— To przynieś mi z kuchni nóż! — błagał go nieszczęśliwy więzień.

— To zrobię, to zrobię! — cieszył się Ignacy — bo tak będziemy mogli we dwoje walczyć z jastrzębiem.

Ucieszony Ignacy wybiegł, a Werner oczekiwał powrotu jego w gorączkowej twodze.

Wreszcie, gdy stracił już nadzieję powrotu obłąkanego cygana, usłyszał szybkie kroki i zobaczył przez otwór postarzałą twarz Ignacego, który zrzucił mu do podziemia duży nóż i długi sznur.

Tym sznurem spętamy jastrzębowi nogi! — szepnął mu poufale.

Hrabia zwinął sznur w kłębek i rzucił go na górę.

— Kochany Ignacy! — rzekł błagalnie — zlituj się nade mną. Wbij gwóźdź do podłogi i przymocuj jeden koniec sznura do tego gwoździa. Drugi koniec zrzuć mi na dół, to może w ten sposób sam się po sznurze na górę wciągnę.

— Dobrze, dobrze! Zrobimy tak, jak pan hrabia każe — mruknął obłąkany — tylko nie dzisiaj! Bo to dziś piątek, to jest dzień, w którym krzyżowali Chrystusa.

W piątek nic się nie udaje, mówi zawsze stara Tara, a ona musi wiedzieć, bo ona w ten dzień na świat przyszła. To też wszystko jej poszło na opak. Mąż i dzieci jej poumierali i ona teraz sama po świecie się błąka!

— O, Boże, Boże! — Jęknął Werner w niezmierzonym bólu — ten biedak ma najlepsze chęci pomóc mi, a mimo to opuści mnie w tym okropnym położeniu. Na miłość Zbawiciela, Ignacy! pomóż mi!

— Ale Ilona nie śmie o tem wiedzieć! — mruknął obłąkany — patrząc trwożnie na myszkę grzebiącą spokojnie na podłodze. — Ilona oskarżyłaby mnie przed Alojzym!

Hrabia złapał myszkę ręką, a ta taka była ułaskawiona, że się nawet nie przestraszyła, gdy ująwszy ją, na łóżko zaniósł.

— Czyś teraz uspokojony? — spytał obłąkanego.

Ignacy skinął głową na znak zadowolenia i oddalił się.

Po pewnym czasie wrócił, wbił zardzewiały, słaby gwóźdź w podłogę, przywiązał do niego jeden koniec sznura a drugi spuścił do podziemia.

Werner chwycił natychmiast podany mu koniec sznura i próbował podnieść się po nim do góry. Ale zaledwie był na środku, gdy stary, zardzewiały gwóźdź się złamał, a Werner upadł ze sznurem i gwoździem na podłogę podziemia.

Ciało jego padło ciężko na kamienne płyty. Słychać było jeden okrzyk, a potem wszystko ucichło.

— Czyż nie przepowiedziałem, że to się tak skończy — mruknął Ignacy — dziś jest piątek, a w piątek nie wolno nic poczynać.

Ale muszę już stąd uciekać, bo gdyby mnie Alojzy tu zastał, to by mnie zabił!

Z chytrością właściwą prawie wszystkim obłąkanym zasunął Ignacy znów płytę.

Później wykradł się z zamku, zamknął bramę i położył klucz na to samo miejsce, gdzie go znalazł.

— W ten sposób nic nie poznają, mruknął do siebie, gdy wracał do chatki cygańskiej. Ludzie nie muszą wszystkiego się dowiedzieć. Oni mi także wszystkiego nie mówią!

ROZDZIAŁ CXLVI.

Jak Zuzia używa swej wolności

Gdy Zuzia przybyła do Wilsonstown, myślała, że imaginowane jej cierpienie skończyło się.

Jakże bardzo się omyliła!

Nie był to bowiem koniec cierpień, ale sam ich początek.

Kilka pierwszych dni szło jej bowiem jako tako, póki miała jeszcze skradzione u swego małżonka pieniądze.

Pierwszym, co lekkomyślna Zuzia uczyniła, było to, że wypytywała się o najbliższą drogę do sąsiedniego miasta.

Na szczęście zapytała się jakiegoś wieśniaka, który ją zrozumiał i chętnie poinformował, dowiedziawszy się wpierw do którego miasta Zuzia chce się dostać.

Rada była jednak trudna.

Pani Mayerowa nie znała nazwiska żadnego z pobliskich miast. Pokazała więc w kierunku farmy swego męża i zawołała:

— Tylko nie tam. Chcę się dostać do jakiegoś miasteczka położonego wręcz przeciwnie. Czy pociągi nie idą w tamtą stronę?

— Nie, tam się dopiero kolej ma budować — odpowiedział Niemiec. — Ale gdy pani dojdzie do portu, może pani pojechać parowcem.

Okrętem nie chciała wracać, gdyż obawiała się, że kapitan może być przypadkowo ten sam, z którym jechała na farmę i że mógłby ją poznać.

Była taka zarozumiała, że wyobrżała sobie, że to niemożliwa rzecz, żeby mężczyzna, który ją raz widział mógł ją zapomnieć.

— Farmer, Jun Boiler, powiezie panią końmi, naturalnie, jeżeli go pani poprosi o to — odpowiedział Niemiec.

— Mam go jeszcze prosić za moje drogie pieniądze — zawołała Zuzia ze zdziwieniem. — Nie dość, że mu zapłacę?

— Jeżeli pani nie chce tego uczynić to proszę sobie iść piechotą — rzekł Niemiec. — Ja tylko tyle pani mówię, że tam mieszka Boiler.

To rzekłszy, oddalił się z krótkim ukłonem.

Wprawdzie Zuzia podobała mu się bardzo, ale rozmowa z nią ostudziła jego zapały.

Zuzia bardzo mu brała za złe, że jej nie zaprowadził do farmera, a złościła się jeszcze bardziej, gdy poszedłszy sama, przekonała się, że ten nie umie po niemiecku.

Narysowała mu więc kredą na stole konia i wóz.

Anglik zrozumiał od razu, o co jej chodzi i pokazał jej pięć dolarów, dając do zrozumienia, że tyle żąda za przewóz.

Zuzia z pogardliwą miną rzuciła mu żądaną sumę na stół.

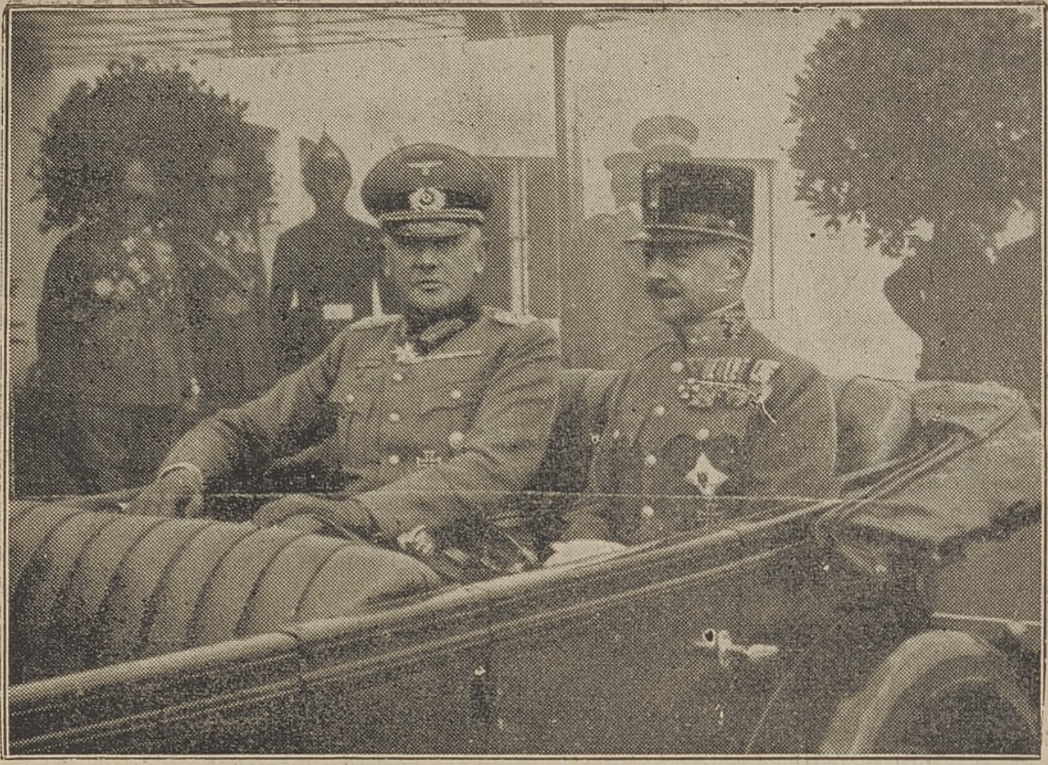
Wtedy farmer zawołał swoją żonę, która umiała trochę władać niemieckim językiem i kazał się jej zapytać, dokąd Zuzia chce jechać.

Za jej pośrednictwem dowiedział się jaki jest cel podróży Zuzi, założył konie do wozu i zawiózł ją do najbliższego miasta, gdzie stanął w gospodzie trzymanej przez Niemca.

Po drodze Zuzia ściągnęła obrączkę ślubną z palca i postanowiła sobie w drodze udawać panienkę, aż do czasu kiedy znajdzie możliwego kandydata na nowego małżonka.

W gospodzie zapytała gospodynię, czy to prawda, że w Ameryce tak łatwo o rozwód.

— Czy pani ma zamiar się rozwieść? — zapytała gospodyni.



W samochodzie dwaj dostojnicy wojskowi, niemiecki minister wojny gen. v. Blomberg i gen. Roeder, podczas wizyty tego pierwszego w Budapeszcie.

— Ale gdzie tam — zawołała Zuzia — ja jestem panną.

— Tak? — zapytała gospodyni obojętnie — nie byłabym po pani tego poznała, wygląda pani jak mężatka.

Co prawda, to u nas piętnastoletnie panny wychodzą zamąż, a pani wygląda na 20.

Zuzia miała wprawdzie już lat 23, ale zapewniała gospodynię, że ma dopiero 17-ście.

— Czy pani chce coś zjeść? — zapytała gospodyni, znudzona tą niepotrzebną rozmową.

Ale Zuzia nie mogła nic jeść, bo znowu czuła to gniecenie w żołądku, na które cierpiała od pewnego czasu.

Gospodyni zwróciła na to uwagę, że ona zbladła jak kreda, a jkiś farmer radził jej, żeby się napiła koniaku, gdyż Zuzia skarżyła się, że podróż ją zmęczyła i jest jej niedobrze.

Kazał przynieść koniaku i podał Zuzi, która wypiła na jego zdrowie.

Potem prowadził z nią bardzo zajmującą rozmowę o krowach, koniach i świniach, a wreszcie zapytał:

— Pani przecież rozumie się na gospodarstwie?

— Wcale nie! — odpowiedziała Zuzia, pokazując mu białe ręce — czy może mieć takie ręce osoba, która się zajmuje gospodarstwem?

— Hm! — odpowiedział farmer — pani ma takie ręce, jak gdyby pani w ogóle nie nie robiła.

— A czy to każdy musi coś robić? — spytała żywo Zuzia.

— Tak jest! — odpowiedział farmer poważnie — kto nie pracuje, nie powinien również jeść.

— To durny człowiek! — pomyślała Zuzia — gada, jakby się umówił z moim byłym mężulkiem.

Chciała mu coś odpowiedzieć, gdy wtem otworzyły się drzwi i wszedł jakiś wędrowny przekupień.

Powitał obecnych, wszyscy odpowiedzieli mu uprzejmie.

— Ma pan jakie ładne klejnoty? — zapytał farmer swoim dudniącym głosem.

— O mam! — odpowiedział handlarz — największy jubiler New-Jorku nie ma ładniejszych.

— Pokaż pan, może coś kupię! — rzekł na to farmer, a Zuzia cieszyła się w duchu, że to dla niej i obiecywała sobie, że wybierze najładniejsze rzeczy.

Przekupień rozłożył rzeczy swoje na stole, a farmer Zuzię zapytał o radę, co ma kupić.

Pokazał jej złoty pierścionek i zapytał, czy pierścionek taki może się kobiecie podobać, bo on się na tym nie zna.

Zuzia chwaliła bardzo, ale on roześmiał się i zawołał:

— Jeżeli pani to tak chwali, to on sobie zaraz każe zapłacić za to podwójną cenę!

Przekwapień zapewniał uroczyście, że nie; a przeciwnie, pochwała tej pani tak mu pochlebia, że gotów jest oddać obydwie te obrączki i należące do garnituru łańcuszek z medalionem za tyle, ile go to samego kosztowało.

— To znaczy ile? — pytał farmer.

— Razem sto dwadzieścia i trzy ćwierci dolara. Każdy inny na moim miejscu — mówił — powiedziałby sto trzydzieści, ale ja jestem uczciwy i nie chcę zarobić nawet ćwierć dolara.

— Sześćdziesiąt dolarów dam panu za to wszystko, odpowiedział farmer.

— Pan dobrodziej żartuje — srożył się handlarz.

— Wcale nie! — śmiał się farmer. — Nie myśl pan sobie, że ja jestem żółtodziób, który się da łatwo oszwabić.

— Dobrze panu mówić — odpowiedział handlarz grobowym głosem — ale niech nie wyjdę z piekła, jeżeli na sto dwudziestu dolarach zarabiam choć trochę. Ale, że z panem już nieraz robiłem interesa, to już wolę dołożyć,



Mussolini przy dziecięcej karuzeli, specjalnie urządzonej dla najmłodszej generacji Włoch na terenie wielkiej wystawy partii faszystowskiej.

ażeby nie stracić kupca. Dam panu to wszystko za sto dziesięć dolarów.

— Nie dołożę ani grosza — oświadczył farmer.

— On mnie chce zrujnować — płakał handlarz — on chce ze mnie uczyczynić żebraka. Ale żeby pan wiedział, że chcę z panem zrobić interes, więc mówię ostatnie słowo: sto dolarów, a garnitur jest pański.

— Sześćdziesiąt dam — odpowiedział flegmatycznie farmer.

— Niech pan przynajmniej powie dziewięćdziesiąt! — prosił handlarz płaczliwym tonem.

Ale farmer nie dał się przekonać.

Handlarz po długim wahaniu powiedział wreszcie naprawdę już stanowczo:

— Za siedemdziesiąt dolarów oddam wszystko! Za mniej nie mogę!

Gdy farmer i teraz nie chciał nic dołożyć, zaczął z wściekłością zapakowywać swój towar i wyszedł.

Zuzi żal się zrobiło, że za głupich dziesięć dolarów straci ten garnitur. Niespostrzeżenie wysunęła się za nim i wsunęła mu dziesięć dolarów, pod warunkiem, że wróci i będzie udawał, że godzi się dać to wszystko za sześćdziesiąt.

Potem wróciła do stołu i rozmawiała dalej z farmerem, który wpatrywał się w nią zachwycony, myśląc.

Ładna bo ładna, ale co mi z tego, kiedy nic nie umie robić!

Tymczasem wrócił przekupień.

— Niech pan dołoży przynajmniej pięć dolarów! — zawołał już z progu.

— Nie panie, sześćdziesiąt dolarów — odpowiedział farmer flegmatycznie.

— Rujnuję się dla pana! — zapewniał handlarz — ale godzę się na to, bo mam nadzieję, że mi pan to na przyszły raz wynagrodzi.

Rozpakował rzeczy i wręczył mu garnitur.

Farmer zadowolony zapłacił mu sześćdziesiąt dolarów zawinął klejnoty w czerwoną chusteczkę i schował do kieszeni.

Potem uprzejmie pożegnała się z Zuzią, zapłacił rachunek w gospodzie i odjechał.

— A to co? — pomyślała Zuzia blednąc ze strachu. Wnet jednak pocieszyła się, farmer wobec wszystkich nie mógł jej się oświadczyć i że wróci pewnie nazajutrz rano.

Gawędziła swobodnie i wesoło z gospodynią, gdy weszła stara murzynka, żądając kilka flaszek „whisky".

— Co to, dziś jeszcze będziecie poncz gotować? — pytała gospodyni.

— Tak jest, u nas są dziś zaręczyny — odpowiedziała staruszka. — Mr. Uderaker oświadczył się naszej panience i podarował jej bardzo ładny pierścionek i łańcuszek z medalionem.

Zuzi serce przestało bić ze strachu, gdy przeczucia jej znalazły potwierdzenie w słowach gospodyni, która odpowiedziała:

— Acha! On właśnie przed godziną kupił to wszystko tutaj u handlarza.

Z trudnością powstrzymywała Zuzia swoją wściekłość. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, wybuchła spazmatycznym płaczem i tupała nogami o ziemię.

— Łotry, złodzieje! Oszukali mnie haniebnie — szeptała nie pamiętając o tym, że to właściwie ona sama siebie oszukała.

Nareszcie zabrakło jej łez.

Rozebrała się i poszła spać, obiecując sobie, że nazajutrz odjedzie.

Tu, między tymi niedźwiedziami nie znajdę męża dla siebie! — myślała. — W wielkim świecie inaczej będą mnie cenić.

Usnęła, śniąc błogo o jedwabiach i perłach, w które ją świat będzie stroił.

Ach, Zuzio, jakże rzeczywiście daleką jest od twoich marzeń!

ROZDZIAŁ CXLVII.

Czekanie i nadzieja

Opuśćmy teraz Zuzię, aby wrócić do jej oszukanego małżonka.

Zostawiliśmy go w chwili, kiedy wróciwszy do domu zastał czekającego na niego obcego jakiegoś człowieka.

— Nazywam się Mitterstädt — mówił obcy — trudnię się zakupywaniem ziemi. Jestem gotów odkupić pańską fermę, pod możliwymi warunkami.

Mayer westchnął.

Nie spodziewał się nigdy znaleźć kupca na swoją fermę i gdyby ten obcy człowiek zjawił się kilka dni wcześniej, cały los jego byłby się inaczej ukształtował. Byłby wyjechał stąd razem z Zuzią.

Myśląc o tym, nie odpowiadał przez dobrą chwilę, co przybysza trochę gniewało.

— Czy nie jestem godnym odpowiedzi? — zapytał.

— Czy wolno wiedzieć, co zwróciło pańską uwagę na moją fermę? — zapytał Mayer.

— Słyszałem o niej w Ohio — odpowiedział obcy — ile pan żąda za nią?

Mayer westchnął głęboko i rzekł:

— Za żadne pieniądze nie sprzedam mojej farmy!

Agent popatrzył na niego i pomyślał sobie:

Ten głupi Niemiec jest chytrzejszy niż myślałem.

— Cóż to? — spytał — czy znalazł pan kopalnie złota w tym bagnie? Tu nigdy nikt jeszcze nic innego nie znalazł, prócz żółtej febry!

— Właśnie dlatego! — opowiedział Mayer poważnie — że mnie na tej fermie oszukano w straszliwy sposób, chcę zapobiec temu, żeby się na niej znowu ktoś w podobny sposób nie oszukał!

— Niech pan nie będzie głupi! — niecierpliwił się Mitterstädt, daję panu 100 dolarów i wolną podróż do Ohio. Niech pan bierze, bo się panu drugi raz taka gratka nie trafi.

— Wierzę panu! — odpowiedział Mayer spokojnie — ale gdyby mi pan dawał 1.000 a nawet 10.000 dolarów powiadam, że nie!

— Czy pan zwariował? złościł się Mitterstädt.

— Byłbym zwariował! — odpowiedział Mayer smutny. — Na szczęście jednak, Pan Bóg zostawił mi jeszcze po tym wszystkim zdrowy rozsądek.

— Niech pan powie swemu przyjacielowi — rzekł agent zwracając się do Brinkmanna — aby nie deptał nogami swego szczęścia.

Mój przyjaciel jest pełnoletni i nie potrzebuje opiekuna — odpowiedział Brinkmann sucho.

— Nie, coś podobnego! — irytował się Mitterstädt, takich upartych ludzi spotykam po raz pierwszy w mojej praktyce. Przychodzę tu w najlepszych zamiarach, a wy nie chcecie mnie słuchać!

— Panie! odpowiedział Brinkmann spokojnie, ale stanowczo — nie lubię się bawić w piękne słówka z człowiekiem, któregobym najchętniej wyrzucił za drzwi. Pan jesteś agentem tego łotra Schulzego, który nam za te bagna wykpił nasz krwawo zapracowany grosz. Milcz pan — krzyknął, podczas gdy mu Mitterstädt chciał przerwać zaprzeczeniem — milcz pan, bo jak Boga kocham, wszystkie kości panu połamię.

Na te słowa Mayer wstał i z wcale niedwuznaczną miną zaczął podwijać rękawy, przy czym wyprostował się w całej swej okazałości.

Dusza pana Mitterstädta siedziała na ramieniu.

— Za moją dobrą wolę — rzekł płaczliwie — za moje poświęcenie.

— Kłamiesz pan — rzekła teraz pani Brinkmannowa — łotrami i mordercami jesteście. Troje dzieci pogrzebałam już tutaj, a i z tych już dwoje straciło tu zupełnie zdrowie. Mąż mój był olbrzymem, a co się teraz zrobiło z niego? Precz stąd, bo chwycę siekierę i rozwalę panu głowę.

Mitterstädt uważał za stosowne szybko się wynieść, a Brinkmann poszedł do sąsiada Frorenza, aby go uprzedzić o możliwym przybyciu do niego tego oszusta.

Potem we dwójkę obeszli wszystkich swoich sąsiadów i zdziałali przynajmniej tyle, że ostrzegli ich przed powtórnym oszustwem.

Mitterstädt doznał wszędzie odmowy i dziękował Bogu, gdy się wreszcie znalazł na okręcie, opuszczającym okolicę, w której mu się tak nie wiodło.

Mayer zaś rzekł do swoich przyjaciół:

— Kochani sąsiedzi, żona moja może powrócić i wtedy będzie się wstydziła tu mieszkać. Oporządzę więc moją zapadłą chatę i tam będę mieszkał. Jeżeli pani Brinkmannowa chce mi dalej dawać wikt, to przyjmę to z wdzięcznością, ale naturalnie będę musiał dokładać do gospodarstwa.

— Ależ panie, kochany panie — sprzeciwił się Brinkmann — co pan tam sam będzie robił? Niech pan lepiej zostanie u nas. Polubiliśmy pana tak, że nam bez pana będzie przykro żyć.

— Nie, nie — odpowiedział Mayer cicho i prawie nieśmiało. Gdy żona moja powróci, musi zastać ciepłą izbę i każdy kąt musi jej wskazywać na to, że czekałem na nią z miłością i że jej przebaczyłem.

— Może to i lepiej — rzekła wreszcie pani Brinkmannowa.

Delikatna kobieta sądziła, że budowa i urządzanie domu będzie pewną rozrywką dla Mayera i motorem popędzającym do życia, chociaż w powrót tej lekkomyślnej kobiety nie wierzyła zupełnie.

— Na to potrzeba panu przecież pieniędzy — mówiła dalej — musi więc pan pracować już na siebie, bo nam już sowicie wynagrodziłeś szkodę naszą.

Brinkmann był tego samego zdania i Mayer zaczął pracować sam dla siebie.

We wspólnej pracy z Brinkmannem miał szczęście. Pozbyli się drzewa prędko i za drobne pieniądze.

Pierwszych pieniędzy użył Mayer na reperację swojej chaty. Pokrył na nowo dach, położył podłogę w pokoju i za pomocą rzemieślników z Wilsonstown postawił piec i wstawił okno.

Z ogromnym trudem postarał się o tanie stosunkowo i piękne meble, które ustawił możliwie jak najgustowniej.

W szafie powiesił resztę jej rzeczy i nieraz szorstka jego ręka czule głaskała suknię, którą nosiła niewierna, ale tak kochana żona.

Domek swój utrzymywał w nienagannej czystości. Pani Brinkmannowa uszyła mu czerwoną firankę nad oknem.



Japoński książę, Chichibu, żywo interesuje się tankami, co łatwo nam stwierdzić przy pomocy tego zdjęcia.

On sam zrobił sobie okiennice, których jednak nigdy nie zamykał.

Przez całą noc świecił zawsze lampę, a na zapytanie pani Brinkmannowej, dlaczego to czyni, odpowiedział zażenowany:

— Ona mogłaby powrócić w nocy i wtedy zobaczy światło.

Na drzwiach domu wyciął scyzorykiem, dużymi, niezgrabnymi literami swoje nazwisko, żeby Zuzia nie myślała, że tam mieszka ktoś inny.

Pewnego dnia zatrzymał się przy brzegu parowiec, z którego wysiadła grupa ludzi.

Mayer rzucił czemprędzej siekierę i pobiegł ku nim, myśląc, że Zuzia znajduje się między nimi, ale byli to zupełnie obcy ludzie.

— Hej, panie! — zawołał jeden na niego — nie może mi pan powiedzieć, gdzie tu jest ferma „Szczęście i błogosławieństwo Boże?"

— To właśnie tu — rzekł Mayer.

— Jakto? To musi chyba tutaj być druga ferma tej samej nazwy?

— Nie, nie ma — odpowiedział Mayer.

— To niemożliwe — zawołał obcy.

— Dlaczego? — zapytał Mayer spokojnie.

— Dlatego, że ja kupiłem fermę „Szczęście i błogosławieństwo Boże" i jeżeli pan powiada, że jesteś właścicielem jej, to musi być jakaś druga.

— Czy pan kupiłeś tę farmę od Schulzego? — zapytał Mayer.

— Tak jest — odpowiedział przybysz.

— To niech pan sobie każe zwrócić pieniądze — zawołał Mayer z triumfem — bo ja jestem jej właścicielem.

Obcy przybysze oburzyli się na to ogromnie. — Mężczyźni klęli, kobiety lamentowały, a dzieci patrzyły na siebie trwożnym wzrokiem i czepiały się sukien swoich matek.

Były to rodziny trzech emigrantów. — Trzech braci.

Najstarszy z nich kupił fermę, a dwaj młodsi chcieli u niego służyć, dopóki sobie nie zarobią na własne zagrody.

Wszystkich trzech znowu oszukał w haniebny sposób Schulze.

Na brzegu leżały ich skrzynie i paki, a parowiec, który odjechał już, zaledwie było można spostrzec na widnokręgu.

Mayer zaprosił ich do siebie.

Brinkmannowie przyszli także i rozpoczęła się narada.

— Co zamierzacie zrobić? — zapytał Mayer — przedewszystkim, czy macie jakieś zapasowe fundusze?

Miny oszukanych emigrantów, którzy milczeli, wskazywały dowodnie, że pozbawieni są już wszelkich środków pieniężnych.

Mężczyźni milczeli z zakłopotaniem, ale żona najstarszego z nich, wysoka, przystojna kobieta, wstała i zawołała groźnie:

— Temu łotrowi, co nas tak sromotnie oszukał, jeszcze się odpłacimy.

— Gdybym przynajmniej miał pieniądze na powrót — skarżył się jej mąż.

— Ja mam — odpowiedziała — matka mi dała na drogę.

— Dlaczegoś mi o tym nie mówiła — zawołał oburzony.

— Bardzo dobrze się stało — broniła pani Brinkmann — bo gdyby Schulze był wiedział, że macie więcej pieniędzy, byłby od was wszystko wycyganił. Jego spekulacja dlatego właśnie mu się udaje, że jego ofiary nie mają pieniędzy na powrót.

— Mam dwieście złotych — triumfowała Marianna — za to możemy zajechać przynajmniej do Nowego Jorku.

— Tak jest, wystarczyłoby — odpowiedziała pani Brinkmann — ale radziłabym wam wszystkim nie wyjeżdżać, bo ostatecznie musicie przecież osiąść gdzieś w głębi kraju. Niech mężczyźni pojadą sami, a ich żony i dzieci pozostaną tutaj, My im damy przez ten czas utrzymanie.

— Ale za darmo nie możemy tego przyjmować — zawołała pani Marianna.



Ponieważ generał hiszpański Franco z miejsca po starał się o to, aby w zdobytym przez siebie Bilbao zapanował porządek i spokój, przeto na wszystkich drogach zaroiło się od powracających uciekinierów, którzy w górach chronili swe życie i mienie.

— Wcale nie za darmo — odpowiedział Mayer — zanim przyjedzie jaki parowiec, pomagajcie nam pracować, a tym sposobem wypłacicie się nam. Macie piły i siekiery?

— Mamy bardzo dobre, ale najbliższym parowcem odjeżdżamy do Nowego Jorku, żeby odszukać tego łotra Schulzego.

— Ja go szukałem cały tydzień dzień i noc — odpowiedział Mayer — i na nic mi się to nie zdało. Nie znalazłem go. Wam we trzech będzie łatwiej, może się wam uda.

— Nie szukajcie go po ulicach — radziła pani Brinkmann — tylko w Castle Garden przy wyładowaniu podróżnych z okrętu, bo on tam czyha na swoje ofiary.

— Nie pojmuję, zawołał najstarszy z braci Wehlauer — jak ośmielił się on sprzedać nam fermę, która nie była jego własnością.

— Może ten Mitterstädt sfałszował kontrakt kupna — przypuszczał Mayer i opowiedział przybyszom swoją przeprawę z agentem.

Wehlauer był w rozpaczy.

— Sam zeszedłem na żebraka i was wszystkich sprowadziłem do torby żebraczej — mówił, zalewając się łzami.

— Nie płacz! Mój złoty, nie płacz — prosiła go żona —, bo dostaniesz wszystkie swoje pieniądze napowrót. A jeżeli nie, to jesteśmy Bogu dzięki zdrowi, i możemy pracować. Nie bluźnijmy Bogu rozpaczą, bo mogłoby nam się powieść jeszcze gorzej. Ot, znaleźliśmy poczciwych ludzi, którzy się nami zaopiekowali. Jakoś to dobrze będzie, tylko nie płacz, mój drogi, mój kochany.

Mayerowi serce się ściskało na ten widok miłości małżeńskiej. Jakżeż inaczej zachowywała się wobec niego Zuzia, gdy jego spotkało nieszczęście.

Taki żal go opanował, że wymknął się z chaty i pod gołem niebem rozpłakał się rzewnie nad swoją niedolą.

Gdy wrócił do chaty, Wehlauerowie zajęci byli składaniem swoich pakunków do szopy.

Pod wieczór Mayer nalał smalcu do lampy, gdyż nafty tam nie było i postawił ją na oknie tak, że światło padało daleko w ciemną okolicę.

Tak to świeciła z tego okna nadzieja Mayera i jego czekanie.

Odstąpiwszy Wehlauerom na noc swoją chatę, prosił, żeby lampy nie gasili.

ROZDZIAŁ CXLVIII.

Cyla jest zazdrosna

Cyla postanowiła zbadać całą sprawę.

Z ciekawą minką zwróciła się więc do najmłodszego praktykanta aptekarskiego.

— Proszę pana, może pan będzie tak dobry i każe mi zrobić to lekarstwo! Czy nie mogłabym zaczekać na nie?

— Proszę, niech pani siada — odpowiedział z ważną miną praktykant.

Cyla jednak nie usiadła, tylko chciała mu dać pakuneczek, mówiąc:

— Nie byłby pan tak dobry oddać ten wzór do haftowania pannie Idzie? Nie chcę tam sama iść, bo jeszcze zawcześnie!

— Panny Idy nie ma — odpowiedział chłopiec zakłopotany.

— Wyjechała? Dokąd? — spytała Cyla bardzo zainteresowana.

— Tego nie wiemy — odpowiedział chłopiec.

— Pani aptekarzowa nie mówiła panu tego? — pytała Cyla ze słodziutkim uśmiechem.

— Stara sama nie wie! — wygadał się nieostrożnie chłopak, ale w następnej chwili rozglądnął się trwożnie dokoła, czy go nikt nie słyszał.

— To nie może być! — zawołała Cyla, ale on nic już nie odpowiedział, tylko znikł z flaszeczką w laboratorium.

Cyla wiedziała już jednak wszystko. A więc Ida uciekła!

Namyślała się nad tym, gdy wszedł prowizor Bernard.

Blady był jak trup.

— Panno Cylo! — spytał — czy ona u pani?

— Kto? — zapytała Cyla, udając zdumienie.

— Panna Ida!

— U nas? Nie! — odpowiedziała Cyla; powoli zbliżała się do niego i zapytała poufałym szeptem:

— Dlaczego ona uciekła?

— Bo chcieli ją zmusić do zaślubienia Teobalda odpowiedział prowizor, który się także nieostrożnie wygadał, bo był bardzo zirytowany.

Cyla mało nie pękła ze złości i z zazdrości.

Sama ubierała się zawsze według najnowszej mody i nikt jej się jeszcze nie oświadczył. Ta Ida zaś, która zawsze ubrana była jak kopciuszek, zabrała jej od razu Teobalda i markiza.

W tej chwili spojrzała na prowizora, który był widocznie blady i zmartwiony, i zrozumiała, że i ten się kocha w Idzie.

Zazdrość jej nie miała granic.

Siadła przy oknie i patrzyła na ulicę, gryząc wargi, a gdy lekarstwo było gotowe, zapłaciła i wyszła z apteki nie rzuciwszy nawet spojrzenia na prowizora i na praktykanta.

Po drodze postanowiła markizowi przynieść nowinę o ucieczce jego ubóstwianej i zemścić się na nim w ten sposób za to, że ją ignorował.

— Niech pan sobie pomyśli — rzekła wróciwszy do domu — Ida uciekła swoim opiekunom!

— Dlaczego? — zapytał markiz zrywając się na równe nogi z łóżka.

— Bo głupia! — odpowiedziała Cyla — sama jest biedna jak mysz kościelna, a nie chciała wyjść za młodego Haia. Musiała jej dobrze dopiec stara Haiowa.

Chciała mu dać lekarstwo, ale markiz podziękował i powiedział, że wstanie, gdyż musi wyjść.

Nie wiedziała, że zamiast rozłościć markiza, wyrządziła mu wielką przysługę. Teraz bowiem wiedział, że Teobald skłamał, mówiąc, że ona jest jego narzeczona. I jak go przedtem brak nadziei rzucił na nowo na łoże boleści, tak teraz nadzieja wróciła mu siły i zdrowie.

Cyla przestrzegała go, żeby nie wychodził, ale napróżno.

W domu dostała jeszcze burę od matki, że zdradziła ucieczkę Idy, bo stara obawiała się, że wobec tego markiz się wyprowadzi.

— Po pysku dostaniesz — mówiła — jeżeli on się od nas wybierze.

— O, wa, to ucieknę tak jak Ida — odpowiedziała rezolutna Cyla.

— Ty próżniaku jakiś! — krzyczała mama. — Ty się z nią nie masz co porównywać. Ona jest pracowita dziewczyna i może sobie zarobić na życie, a ty nie umiesz nic, tylko jeść i spać.

Cyla w odpowiedzi trzasnęła drzwiami, markiz zaś pojechał do Teobalda.

Ten leżał na kanapie ,widocznie w złym humorze i przywitał gościa chłodno:

— Niespodziewany zaszczyt na mnie spada — rzekł Teobald.

— Mój panie! — odpowiedział markiz poważnie — oświadczyłeś mi pan, że panna Ida jest pańską narzeczoną. Jak mogę to pogodzić z tym co zaszło?

Teobald był zanadto chytry, żeby się nie wykręcić.

— Nie mogła tego znieść — odpowiedział — że z jej przyczyny pokłóciłem się z ojcem, który nie chce się zgodzić na nasz związek.

— A więc ona woli rodziców pańskich niż pana? — zapytał markiz.

— Nie — odpowiedział Teobald, zły z takiego tłumaczenia — Idy matka, niejaka pani Desiree Saint-Cire, przybyła zupełnie bez środków do życia...

— Panie, dowodów! — przerwał markiz upadając na krzesło ze wzruszenia.

— Czego, dowodów pan żąda? — spytał Teobald, udając, że nie wie o co chodzi.

— Tego, że Desiree Saint-Cire jest matką Idy.

— Mamy paszport zmarłej — rzekł Teobald.

— To mało! — zawołał markiz — jeżeli ta kobieta umarła w waszym domu, to piwinniście mieć poświadczenie jej śmierci, a córka powinna być zapisana pod prawdziwym nazwiskiem w księgach kościelnych.

Poświadczenie śmierci hrabiny Wildenstein — kłamał Teobald — posłali moi rodzice staremu hrabiemu w nadziei, że zajmie się osieroconym dzieckiem, ale gdy się hrabia nie odezwał, adoptowała sierotę młoda Francuska, która wyszła za Niemca.

— Przypuszczam, że to zrobili rodzice pańscy — wtrącił podejrzliwie markiz.

Teobald zaczynał tracić pewność siebie wobec bystrej przenikliwości markiza, ale trzymał się jeszcze dalej.

— Moi rodzice — rzekł — musieli panią Steinert zastąpić, gdyż pani Steinert umarła w tym samym roku.

W takim razie Ida musiałaby być urodzona w roku 1867! — zawołał markiz — a ona twierdzi, że jest urodzona w 1868.

— Ot, zwyczajnie, jak to panny lubią sobie lat ujmować — bronił się Teobald.

— Najlepszym dowodem będzie — rzekł na to markiz — jeżeli mnie pan zaprowadzi do tego kościoła, w którym była ona chrzczona.

— Tego nie wiem — odparł Teobald.

— Jakto, nie wie pan, do której parafii należy?

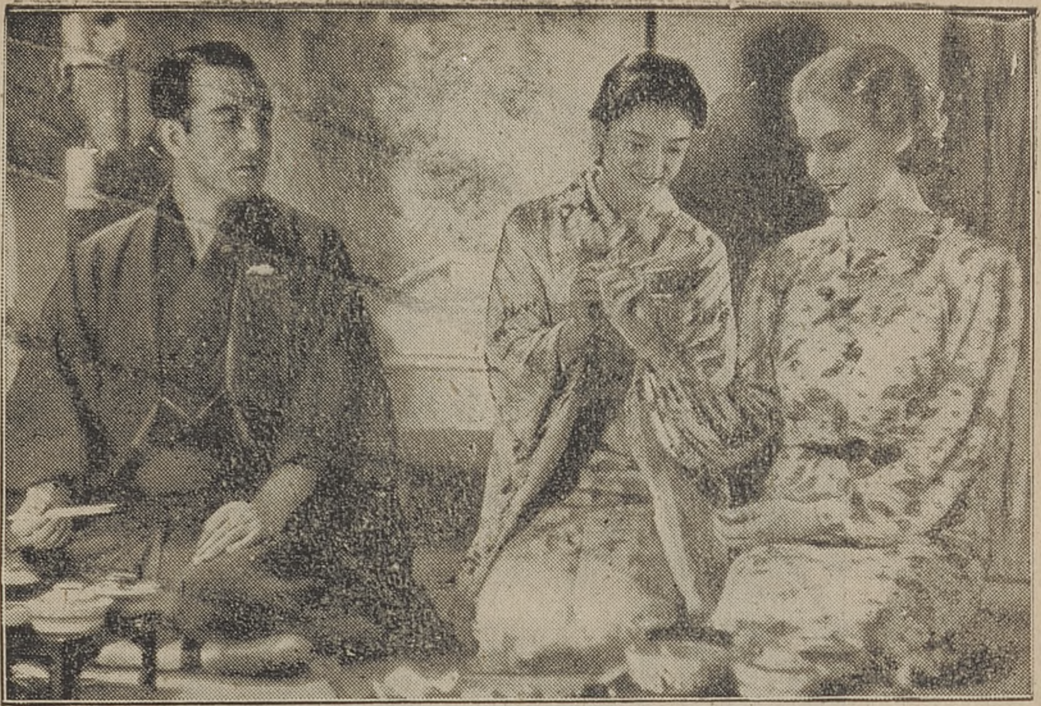
— Ależ Ida była chrzczona w domu swoich ówczesnych opiekunów! — bronił się rozpaczliwie Teobald, a ja nie wiem, gdzie oni mieszkali. Wie to tylko moja matka, lecz jej teraz nie ma w domu.

Ledwie jednak wyrzekł te słowa, gdy z kuchni najwyraźniej odezwał się krzykliwy głos pani Hai.

— Pani aptekarzowa wróciła już, jak widzę — rzekł ironicznie markiz — może pan będzie łaskaw zapytać się matki dobrodziejki — dodał uprzejmie.

— Z przyjemnością — odparł Teobald, tłumiąc wściekłość na matkę, że się musiała odezwać w tak fatalnej chwili, i zirytowany tem, że przenikliwość markiza krzyżowała mu plany.

Wszystko stracone jeżeli teraz nie zdołam oszukać markiza — pomyślał.



Uprzejma Japonka wtajemnicza znajomą Europejkę, w zwyczaje japońskiego domu.

ROZDZIAŁ CXLIX.

Postępy na drodze zbrodni

Egon i Ada nudzili się bardzo w podróży poślubnej.

On urozmaicał sobie podróż czasem jaką wycieczką do kabaretu, ona jednak nie miała nic dla swojej rozrywki.

To też ucieszyła się bardzo, gdy ojciec napisał że matka tęskni za nią i że byliby im wdzięczni, gdby skrócili swą podróż i wrócili jak najszybciej.

— Dzięki Bogu! — rzekła, przygotowując się do podróży, że opuszczamy ten osławiony kraj sztuki, w którym sobie tylko żołądek popsułam.

Te marmury tutaj takie zimne, że trzeba siedzieć cały dzień przy kominku i ziębić się niemożliwie. Dzięki Bogu, wracamy!

W dodatku ogromnie wiele to kosztowało — wtrącił Egon, który miał już bardzo mało pieniędzy i w ten sposób chciał się delikatnie dowiedzieć, czy Ada ma jeszcze coś przy sobie, lecz ona odpowiedziała ostro:

— Żyliśmy jak szewcy — lecz twoje przyjemności musiały bardzo wiele kosztować, jeżeli ci dużo wyszło. 10.000 złotych chyba powinno ci było wystarczyć.

Baron naturalnie nie mógł się żonie przyznać, że połowę tej sumy dał kasztelanowi.

— Na podróż bardzo wiele wychodzi — bronił się — czy nie byłoby dobrze, gdybyś ojca poprosiła jeszcze o mały dodatek? Przecież musimy coś przywieźć z podróży!

Wtem ktoś zapukał do drzwi i weszła nieśmiało Mala.

Ada przywitała ją grzecznie, gdyż była dla niej bardziej uprzejmą od chwili, w której zauważyła, że to męża irytuje.

Mala przyszła powiedzieć, że przekupień przyniósł jakieś mozaiki na sprzedaż.

Egon obawiał się, że Ada porobi wielkie zakupy, których nie będzie mógł zapłacić i zrobił jej nieśmiałą uwagę, na którą ona się oburzyła.

Mógł wprawdzie zaciągnąć pożyczkę, ale nie chciał się już teraz kompromitować długami.

Ada zaś, która z natury była skąpą, w tym wypadku postanowiła nakupować masę, ponieważ wiedziała, że go to niepokoi.

Egon poszedł za nią i kupił u przekupnia małą broszkę, za trzecią część żądanej sumy.

— Dla kogo to, jeżeli wolno wiedzieć? — spytała chłodno Ada.

— Chciałem mamie zrobić prezent — odpowiedział Egon.

— Daruj — rzekła na to Ada, jakby oburzona — ale podobną broszkę pani Hardenfels kupiła swojej garderobianej. Pozwolisz zatem, że ja Mali zaofiaruję tę broszkę.

Nie czekając odpowiedzi, przypięła broszkę Mali i nie zważając na wściekłość barona, kazała sobie przynieść lepsze jakieś rzeczy.

— Jeżeli jaśnie pani rozkaże — odpowiedział przekupień zadowolony — to przyniosę najkosztowniejsze z moich artykułów. Za kwadransik będę służył.

To rzekłszy odszedł, bijąc pokłony aż do samych drzwi.

— Uważam, że masz zamiar zakupić cały sklep jubilerski — rzekł Egon tamując wściekłość.

— Jeżeli mi się tak będzie podobać, odpowiedziała Ada chłodno — to może tak zrobię!

Za pół godziny wrócił jubiler i przyniósł najcudowniejsze mozaiki.

Ada, mimo wszystko, była zanadto skąpa, żeby się nie targować.

Mimo to, ku utajonej wściekłości Egona, rachunek wynosił tysiąc pięćset złotych, to jest więcej niż wynosił cały majątek Egona. Czekał więc tylko, co dalej będzie.

— Kochana Malo, podaj mi proszę moją sakiewkę z pieniędzmi — rzekła Ada ze słodziutkim uśmiechem.

Mówiąc to podała swej garderobianej klucz.



Nieudawana radość i zadowolenie bije z twarzy tych amatorek zimnej kąpieli

A więc Mala wiedziała, gdzie Ada chowała swoje pieniądze i Mala miała przystęp do jej kasy — myślał Egon — gdyby tak tę okoliczność wyzyskać ,aby się pozbyć tej niewygodnej, niebezpiecznej osoby? Gdyby tak wydostać stamtąd pieniądze i rzucić podejrzenie na Malę, że je ukradła?

Tak złym, tak podupadłym moralnie, był już baron, że serio myślał o tym nikczemnym planie, nie robiąc sobie żadnych skrupułów.

Chciał zgubić dziewczynę, która mu dawniej całe swe serce oddała w ofierze, dlatego tylko aby go widok jej nie raził.

Tymczasem Mala, nie przeczuwając nic złego, wróciła wkrótce do pokoju, niosąc pani swej sakiewkę z pieniędzmi.

Ada zapłaciła handlarzowi, a resztę pieniędzy schowała napowrót do sakiewki.

— Wystarczy to jeszcze na zakupno Madonny u Tornariego — rzekła Ada z uśmiechem.

Sprawiało jej to widoczną przyjemność wydawać pieniądze na zabytki, podczas gdy wiedziała o kłopotach finansowych swego męża.

Scena ta pozostała żywo w pamięci Egona.

Haniebnego swego planu nie mógł baron wykonać, gdyż Ada tego samego jeszcze dnia pojechała do Tornariego i kupiła u niego wspaniały obraz olejny: Madonnę z dzieciątkiem Jezus.

Wróciwszy, pokazała mu z triumfującą miną miną próżną sakiewkę.

Młoda para, która w tak oryginalny sposób spędziła swoje miodowe tygodnie, wróciła jak najspieszniej do domu t. j. na zamek Dornbruch, bo hrabina życzyła sobie spędzić święto Bożego Narodzenia w starej siedzibie rodzinnej. Po Nowym Roku mieli się wszyscy razem przeprowadzić do Wiednia.

Ledwie Egon przybył na zamek Dornbruch, zameldowano mu leśniczego Herberta.

— Niech czeka — krzyknął baron rubasznie.

— Z przeproszeniem, panie baronie — odpowiedział służący — ale leśniczy Herbert czeka tu już na pana od 4 godzin.

— Musi zatem mieć dużo wolnego czasu — zaśmiał się baron lekceważąco. — Tak to się wyżywia i drogim groszem opłaca całą falangę próżniaków i nicponiów. Czego chce ten...

— Prosi o rozmówienie się z panem baronem — odparł służący.

— Przyprowadź go więc, u licha — mruknął baron Egon.

W kilku minut później wszedł leśniczy Herbert do salonu.

Głęboki zmutek bił z twarzy tego poczciwca, przygniatał do ziemi herkulesową jego postać, i przemawiał ze smętnego spojrzenia.

— Panie baronie — rzekł stanowczym głosem — czy zna pan to pismo?

Mówiąc to, położył przed baronem na stole stos listów.

Baron chwycił, na samym wierzchu leżący arkusik, na którym było wyraźnym pismem uwidocznione następujące zdanie:

„Baron Egon Sturmfeder wykradł państwu córkę".

Baron zbladł śmiertelnie.

Herbert zaś nie spuszczał z niego oka i spostrzegł tę nagłą w nim zmianę.

— Panie baronie, mówił z pozornym spokojem, podczas gdy we wnętrzu wrzało mu jak w wulkanie. — Panie baronie, córka moja znikła bez śladu, a autor tego listu piętnuje pana jako sprawcę tego strasznego czynu.

— Jest to tak nikczemne oskarżenie, że nie wypada mi wprost uniewinniać się z tego — oburzył się baron — autorowie bezimiennych listów są zawsze podłymi oszczercami.

— Cóżby ta osoba mogła w tym mieć, aby pana barona bez żadnego powodu oskarżała? — zapytał leśniczy.

— Czy mnie pan ma za jasnowidza, że mi pan zadaje takie pytania? — zadrwił sobie baron. — Jeżeli pan w istocie mnie podejrzewa, że winien jestem zniknięcia pańskiej córki, to dlaczego nie oddajesz pan tej sprawy do sądów? Milczysz pan? Więc ja za pana dam odpowiedź, że dlatego nie czynisz pan tego, bo nie masz żadnego dowodu na poparcie swej skargi.

— Panie baronie — odparł leśniczy drżącym głosem — wywabiłeś pan niewinną córkę moją z domu rodzicielskiego, listem. Czybyś pan naprawdę nie wiedział, kto ten list pisał?

— Idioto — krzyknął Sturmfeder — tego już doprawdy za dużo. Za Boga mnie pan masz? Jestem przecież mężem kobiety, która słynie z piękności w całej okolicy. Czyż wobec tego możliwym jest, aby prosta sobie dziewczyna, tak mnie oczarować mogła, abym dla niej aż zbrodnię popełnił? Nie wiem prawie, jak wygląda córka pańska i czy poznałbym ją przy spotkaniu, na przykład gdzieś na ulicy.

— Pan Bóg patrzy w dusze ludzkie — rzekł na to leśniczy poważnym głosem — i Jego nikt nie oszuka. Czy może mi pan przysiąc, że pan nie wie, gdzie się córka moja teraz znajduje?

— Mógłbym uczynić to z czystym sumieniem, gdybym tylko chciał — zapewniał go baron — ale wystąpiłeś pan wobec mnie tak zuchwale, że muszę panu koniecznie pokazać, kto tu jest panem. Nie pomyślałeś pan widocznie o tym, że jesteś u mnie w służbie, i że cię każdej chwili mogę wyrzucić.

— Przepraszam — odparł leśniczy stanowczo — pan baron grubo się myli, bo dotychczas nie jestem w pańskiej służbie, ani też pan baron nie ma prawa mnie oddalać, gdyż prawo to ma tylko prawowity właściciel majątku hrabiów Wildensteinów.

— Ja właśnie jestem tym właścicielem — odpowiedział dumnie baron Egon Sturmfeder, uderzając się w piersi.

— Nie, panie baronie — rzekł leśniczy Herbert spokojnie — tym właścicielem jest hrabia Werner Wildenstein.

— Umarli nie mają żadnych posiadłości — drwił baron.

— Nikt nie dowiódł jeszcze śmierci młodego pana hrabiego — odpowiedział stary leśniczy spokojnym, ale pewnym głosem. — Nikt nie widział jeszcze trupa naszego pana i chlebodawcy. Nie wierzę w to, aby on umarł.

— Jest to najlepszym dowodem, że jesteś pan zidiociałym i wprost niepoczytalnym — zawołał baron Egon. — Bóg wie, na jakie jeszcze pomysły pan wpadniesz.

— Gwałtowność pańska, panie baronie, dowodzi najlepiej, że się pan poczuwasz do winy — odpowiedział leśniczy.

— Teraz cierpliwość moja się wyczerpała — oburzył się Egon. — Zabieraj się pan stąd natychmiast, zuchwalcze. Siwym włosem swym zawdzięczasz, że cię jak psa z zamku nie wyrzucam.

)Ciąg dalszy na stronie 557.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem nadesłania listów, znajdujących się w redakcji — są proszeni: „Wesoły Toruniak", „Margaretka" i „Biała Kalia", „Stenia z Ina", „Wiarus — Murzynek", „Zrównoważony", „Biały Tulipan", „Mistyk", „Ja — Nina", „Raula", „Smutne Serce", „Miluś II." „Stel", „Mewka z nad Warty", „Łobuz z Orchowa".

A MOŻE JEDNAK?...

„Czarny Hajduczek". Załączona do listu fotografia zdradziła mi, że „Hajduczek" jest ślicznym dziewczątkiem. Żałuję tylko, że nie wolno mi tej fotografii zamieścić, bo wyobrażam sobie, jak powyższe zdanie zaabsorbowało „Krainiaków" i jak wszyscy chcieliby „Hajduczka" zobaczyć, chociaż na zdjęciu. A może jednak „Hajduczek" zdecyduje się zamieścić swój fotos w „Krainie"? Czekam na odpowiedź.

Uwagi Twoje, Kochana Dziewczynko, dotyczące powieści zamieszczanych w naszym tygodniku, mają w sobie dużo racji, ale... to, co wydaje się jednym miernotą, dla innych jest interesujące i zajmujące. Stąd też podzielone zdania.

Ucieszyła mnie zapowiedź Twoja, że chcesz pisać nadal do mnie — wspaniale! Listy Twoje mają w sobie tyle słodyczy i ciepła, że mogą być tylko upragnione. Pisz więc, Mój Drogi „Hajduczku" i przyjm ode mnie moc miłych pozdrowień.

Z listu „Czarnego Hajduczka:"

„Małej Konwalijce", „Dumce", „Przedwiośniu" i „Białej Uajali", przemiłej czwórce — przesyłam mocne buziaki.

Reszcie Sympatyków — serdeczne pozdrowienia i — pa!!!"

JAK MATKA PRAGNĘ BYĆ DLA WSZYSTKICH SPRAWIEDLIWĄ

„Samotny Sfinks". Bardzo się cieszę z nadesłanej fotografii — umieściłam ją w zbiorowym albumie na trwałą pamiątkę. Wybaczy Pani, że swojej nie wyślę w rewanżu, gdyż nie czynię tego z zasady. Zresztą proszę sobie wystawić w jakim byłabym kłopocie, gdyby wszyscy moi bliscy z „Krainki" nagle solidarnie zażądali mojej podobizny. Doprawdy, zakłady tutejsze miałyby przez dobry kawał czasu niesłychanie dużo pracy, a ja? Ja chybabym się zrujnowała doszczętnie. A przecież, mając dla wszystkich równą ilość uczucia, nie mogłabym pozwolić sobie na wyróżnienie jednej lub kilku osób. Jak matka ogarnia wszystkie swoje „pociechy" jednakową troskliwością i w równej mierze pragnie okazać im swą miłość, tak ja dla wszystkich moich „pociech" z „Krainy" chcę mieć równą ilość słów i uczuć szczerych i dobrych i tak samo pragnę otaczać ich promieniami najgłębszego sentymentu. Nie chcę za nic w świecie okazać się stronniczą lub — co gorsza — niesprawiedliwą.

Drugą prośbę załatwię chętnie i w ten sposób, jaki Pani dogadza.

„Wągrowianinowi" zasyła Pani wagon miłych pozdrowień i, przypuszczając, że się znacie, prosi go Pani o napisanie kilku słów, na które odpisze Pani szybko.

Dla wszystkich drogich sobie i kochanych siostrzyczek i braciszków z „Krainki" przesyła Pani również serdeczne bardzo pozdrowienia i dziękuje za pamięć.

MOŻE ZECHCE KTOŚ OŻYWIĆ SAMOTNIĘ?

„Dziewczyna z pod lasu". Przybywa nam ziś nowa Siostrzyczka, mała i trochę nieśmiała panienka z dalekiego Pomorza. Posłuchajmy mówi o sobie:

„Mieszkam w małej, ale uroczej wiosce, dzie życie płynie spokojnie i równo. Mnie o wydaje się zbyt smutne i monotonne, bo e mam jednej przyjacielskiej duszy i jeżeli czymś zachwycam i cieszę, to tylko przyro-

Może zechce ktoś z „Krainy" napisać do nie i wnieść w tę tu samotnię trochę ożywczego prądu z szerszego świata.

Przesyłam tysiące miłych pozdrowień „Staremu Kawalerowi", „Zagłobie Wielkopolaninowi", „Czarnookiej Wandzie" i proszę ich o listy.



P. Jan, Feliks Płóciennik, autor pięknych wierszy i nowelek, zamieszczanych w „Moich Powieściach" — przedstawia się dzisiaj na zdjęciu, czyniąc zadość prośbom miłych Sympatyczek „Krainy".

TRZEBA UMIEĆ ZNALEŹĆ W TŁUMIE

„Boluś". Oj, nie bardzo masz słuszność, Drogi „Bolusiu", gdy mówisz, że myślę sobie pocichu, że niepotrzebnie znowu piszesz. Brzydko tak myśleć i zmień się proszę, bo pogniewam się i zamilknę na jakiś miesiąc, a wówczas co uczynisz? Hm.... Mała Kochana Dziewczynko?

No, nie ma obawy, ani myślę być srogą, a tym mniej mściwą — dlatego też mówię Ci pocichu i głośno: pisz zawsze i dużo i dziel się ze mną swymi, zarówno smutkami, jak radościami. Ulży Ci nieco, a mnie może ułatwi znalezienie środka na uleczenie Twych czarnych myśli i zbyt sceptycznych zapatrywań.

Wierzę Pani, Kochana, że gorycz doznanych krzywd niweczy w człowieku energię i uprzedza do ludzi, ale wiem też, że nie wszyscy są — jak Pani twierdzi — fałszywi i źli. I nie wszyscy ludzie zatracili zaletę wdzięczności i szczerości. Dlatego nie można kategorycznie twierdzić, że nie ma na świecie ludzi dobrych, rozumnych i szlachetnych, że nie ma jednostek zdolnych do przyjaźni bezinteresownej i prawdziwej.

Są tacy, Panno „Bolusiu", napewno są, tylko trzeba umieć znaleźć ich w tłumie, rozróżnić i zdobyć dla siebie. A gdy się już ma tę przyjaźń osoby wartościowej, trzeba ją wysoko cenić i.... troskliwie pielęgnować.

Tak, Moja Droga, trzeba ją pielęgnować na wzór wątłej, a nie mniej bardzo wartościowej, rośliny.

Trzeba umieć wyrzekać się, a także zdobywać w imię przyjaźni. W ogóle uważam, że jest to rzecz niesłychanie ważna w życiu człowieka i często konieczna, przeto nie można przechodzić obok niej z obojętnością i pogardą. Zwłaszcza z pogardą. Niech Pani, proszę, zmieni tę decyzję, Droga „Bolusiu"! Myślę, że mówi Pani pod wpływem nadmiernej goryczy z powodu ciężkich rozczarowań. Rana Pani jest jeszcze świeża i boląca, dlatego burzy się w Pani ten zimny gniew i poniekąd zaciętość. Ale to przejdzie, czas ukoi i boleść i spojrzy Pani znowu jaśniej i serdeczniej przed siebie i... znajdzie znowu w sobie uśmiech dla ludzi, jeżeli już nie wiarę w nich.

A skoro się to stanie, nie omieszkasz mi tego donieść, i ucieszyć mnie tą przemianą — dobrze, Droga Dziewczynko?

„Boluś" przesyła komunikaty: „Wioślarzu", może oprócz myśli z dali prześlesz mi liścik? Pragnę tego. Może zobaczymy się kiedyś i porozmawiamy? Pamiętaj, czekam i pozdrawiam!

A Ty, „Romantyczny Śpiewaku", nie napiszesz? Byłam w Gąsawie, lecz wyśledzić Cię było zbyt trudno. A szkoda!

Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia w „Krainie", ślicznie dziękuję i odwzajemniam się szczerze.

A pan Fel W. ze Żnina, czy już nie napisze do mnie? Szczere pozdrowienia.

MARZĘ O IDEALNIE DOSKONAŁEJ PRZYJAŹNI

„Samotna Sosna". Oczywiście, Droga Pani, że nie zawiodę Jej i na każdy list odpowiem nie tylko chętnie, ale przede wszystkim szczerze.

Pisze Pani, że w duszy Jej drzemie tęsknota za przyjaźnią prawdziwą i głęboką. Jak to pięknie, Droga Pani, jak to przeogromnie pięknie! Mam wielki szacunek dla ludzi, którzy zdolni są do prawdziwej przyjaźni. Którzy potrafią nie tylko ją brać, ale głównie — dawać. Bo nie sztuka, uważam, zgarniać owoce cudzej przychylności, wynikłej z takich czy innych przyczyn, ale sztuką i rzeczą ważną, niesłychanie cenną jest umieć odpłacić równą, a lepiej jeszcze, gorętszą dobrocią i przychylnością, za dobroć i przychylność dawaną.

Zaś ludzie, którzy tęsknią za przyjaźnią, przeważnie są do tego zdolni.

Pyta mnie Pani, czy spędzę wakacje nad morzem — niestety, nie wybieram się tam w tym roku! Nie będziemy zatem mogły poznać się, mimo wspólnych życzeń, bo i ja chętnie poznałabym Panią.

Ale, powracając do omawianego tematu, pięknie i tak bardzo poetycznie pisze Pani, nie tylko o przyjaźni oczekiwanej, ale i o utraconej. Drodzy „Krainiacy", posłuchajcie proszę!

„Wciąż marzę o idealnie doskonałej przyjaźni. Czy taką znajdę? Nie wiem. Resztę o mnie dopowie mój wierszyk, który niżej przytoczę:

Był w życiu moim jeden sen,
Co minął, jak świąteczny dzień
I został po nim wspomnień czar —
Minionej wiosny — szczęścia żar...

O, jakże szkoda mi tych chwil,
Co nigdy już nie powrócą,
Lecz oddalone setki mil,
Garść wspomnień czasem mi rzucą.

Szkoda mi pasma jasnych dni,
Bo już minęły — jeno śni
Mi się dawny, słodki sen,
Który przeminął — jak jeden dzień"...

APEL O WYCIECZKĘ DO ŻNINA

„Orlica". Umieszczam dziś przyrzeczony apel i sądzę, że doprowadzi do pożądanego skutku.

Halo! W imieniu „Orlicy", która tak wymownie opisała swą wycieczkę — pielgrzymkę do Częstochowy, pytam Was, Drodzy Sympatycy „Krainki", czy nie znajdą się wśród Was tacy, którzyby chcieli towarzyszyć jej w projektowanej wycieczce rowerowej do Żnina? Oczywiście będą to osoby mieszkające w jej mieście — Koźminie lub w okolicy Krotoszyna, czy Jarocina.

Jeżeli tak — proszę się listownie (w zwykły u nas sposób) skomunikować z „Orlicą".

CHCIEJCIE PAMIĘTAĆ!.....

„Królewna z Bajki" i *„Pomorzanin"* — piszą mi taki oto list:

„My, niżej podpisani, śpieszymy złożyć na rączki Twoje gorące i serdeczne podziękowanie za to, że dzięki Twemu gorącemu i macierzyńskiemu sercu i pośrednictwu — „Krainy" odnalazły się dwie samotne, błąkające się istoty. I to jedna, której na imię „Królewna z Bajki" i druga, której na imię „Pomorzanin".

Naprawdę miło nam zaznaczyć, że tak się złożyło, iż po osobistym poznaniu nie rozczarowaliśmy się do siebie, a przeciwnie, stwierdziliśmy, że odpowiadamy sobie charakterem i czujemy się szczęśliwi.

Te dwie osoby przez dłuższy czas żyły ściśle z członkami „Krainki", która w głównej mierze przyczyniła się do tego, że dziś, my piszący te słowa, stoimy w przededniu tego, co jest w życiu wielce ważne, mianowicie małżeństwa. Tak, dziś stoimy u wrót bramy, na której lśni złotymi literami wyryty napis: „Szczęście".

Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby to nasze szczęście stało się głośne i gdyby nasze podziękowanie znalazło się na łamach „Moich Powieści" i w „Krainie" i dało w ten sposób dowód, że naprawdę przez i „w" „Krainie szczerości" można znaleźć to, co się przez długie nieraz lata szuka".

Drodzy Moi, nie macie pojęcia, jak cieszy mnie ten fakt.

Chodzi mi tylko jeszcze o jedno. Mianowicie o to, abyście to obecne szczęście utrzymali na długie, długie lata, aby Wam przyświecało, wspierało i słodziło życie zawsze. Myślcie o tym i weźcie to sobie za potężny cel, ba, za punkt honoru poprostu. Niech przysięga, którą złożycie przy ołtarzu, będzie wiecznie żywą, niech serce Wasze nie zapomina o niej nigdy!

I... Chciejcie pamiętać także o kochających Was „Krainiakach".

LISTY WRÓCIŁY!

„Miluś II". Listy, zgodnie z życzeniem Pana, wysłaliśmy na poste — restante, niestety, wróciły niepodjęte w terminie. Wobec powyższego, proszę Pana o nadesłanie bezpośredniego adresu, względnie wiadomości, w jaki sposób przesyłkę Panu dostarczyć.

JESZCZE NIE DOSTAŁAM...

„Hermes". Niesłychanie ucieszyłam się, że pamięta Pan jeszcze, „Hermesie", mimo, że piszesz nader rzadko. Czy nie zechciałbyś pisać słów choćby niedużo, ale częściej? Lubię wiedzieć, gdzie się obracają moje dzieci z „Krainy", co czują i jak im się powodzi: dobrze, niebardzo, czy może źle? Smuci mnie zawsze niepewność, dotycząca losów moich pupilów. A uważam słusznie, że milej jest mieć podstawy do szczerego radowania się, niż do smutku i niepokoju i dlatego kładę taki duży nacisk na choćby względnie regularną korespondencję z całym obszernym kołem mej „Rodzinki".

Czyż nie mam słuszności?

W kwestji, umieszczenia lub nie, mej fotografji, odpowiedziałam już ostatecznie w num. 27. Przykro mi bardzo, że wynik głosowania koliduje z życzeniem Pana, ale doprawdy nie moja to wina. Zresztą, sądzę, że nie jest to znowu sprawa zbyt ważna, a przynajmniej znacznie mniej ważna niż sprawa wszystkich bólów i radości, jakie przeżywają i jakimi dzielą się ze mną wszyscy czytelnicy, sympatycy „Moich Powieści" i... członkowie „Krainki".

Jedno jeszcze, niestety przykre, muszę Panu donieść, mianowicie, że nie dosłałam Jego listów życzonym osobom, gdyż nie posiadam ich adresu. Tak mi przykro z tego powodu!

Lecz przyrzekam Panu, że skoro tylko osoby te podadzą mi adres, natychmiast poślę im zalegające listy.

Sama nie lubię, gdy liściki, zamiast nieść, zgodnie z życzeniem wysyłających, słowa dobre czy smutne, wesołe czy hartowne — leżą cicho w teczce i tęsknią niepotrzebnie. I często ,ba, zawsze apeluję o podawanie adresów, które u mnie bezwzględnie są bezpieczne i nie ulegają wyjawieniu. Przekonali się „Krainiacy" o tym dostatecznie i wierzą mi.

A teraz, dziękując serdecznie za pozdrowienia, przyjacielsko ściskam Panu dłoń.

NIE ZAPOMNIAŁAM

„Isle Wenus". Droga Pani z dalekich stron — nie zapomniałam Cię, a przeciwnie, często nawet myślałam, co z Panią i gdzie się obraca.

Więc zmieniłać miejsce zamieszkania i żyjesz gdzieś w dalekim acz pięknym kątku Polski? Dobrze, że Ci się tam podoba. Z przyjemnością czytam zawsze wynurzenia zadowolonych z miejsca swego pobytu, pracy i... życia — członków „Krainki".

Ale à propos życia — stwierdzam z bólem, że z niego nie jesteś, niestety, zadowolona. Dlaczego? Czyż spotkał Cię, Droga Pani, tak wielki cios, abyś z taką rezygnacją mogła mówić, że życie Twoje jest złamane, że nic na świecie już Cię bardzo nie zachwyci, ani też bardziej zmartwić nie zdoła?

Jeżeli umiałaś przeżyć ból jakiś cięższy, zawód nieznośny, to dowód, że charakter masz silny, nieugięty, a mając takowy, nie ulegniesz i będziesz raczej na nowo walczyć o radość życia. Wierzę w to.

I wiem, że w pszyszłym liście doniesiesz mi, iż wyzbyłaś się już gorzkiej niechęci do świata i ludzi i że zabiłaś w sobie gnębiącą myśl, iż jesteś nikomu niepotrzebną, że zawadzasz... Przecież to jest wprost absurdalne, aby młoda osoba mogła mówić te rzeczy z pełnym przekonaniem.

Pani jest chwilowo przygnębiona i dlatego zbyt czarno patrzy na wszystko. Lecz to przejdzie, musi przejść i wówczas sama Pani zrozumie, że nie miała słuszności.

Zresztą, mogę dać Pani jedną radę. Skoro czuje się Pani, że tak powiem, zawadą, to proszę postarać się nią nie być. Uczynić wszystko aby ludzie i Pani sama poczuła, że właśnie bardzo jest im potrzebną.

A jak to przeprowadzić, wie Pani sama. Uśmiech, uprzejmość, dobroć i praca. Praca dla siebie i dla innych.

Myślę, że mnie Pani zrozumie.

A narazie ściskam Pani serdecznie dłonie i zamieszczam Jej komunikaty:

„Halo, „Duśko", przyjmij pozdrowienia od kogoś z daleka. Ten ktoś o Tobie stale myśli i pamięta.

„Smutny Sztubaku", wiem kto jesteś, gdyż odgadłam Twoje incognito. A takim bardzo Smutnym też nie jesteś — znam Cię bliżej i wiem, że potrafisz być wesołym, a nawet wcale figlarnym. Przyjmij od kogoś Ci bardzo znajomego, moc miłych pozdrowień".

Jeszcze raz wracam do Pani z prośbą serdeczną, aby ten niesłychanie bolesny stan, w jakim się znajdujesz obecnie, a któremu silny wyraz dałaś w poniższym wierszyku — przeszedł jak najszybciej. Koniecznie! Nie mogę już znieść myśli, że tak Cię boli...

Jakże okropnie smutne te słowa:

„Innymi ty pójdziesz drogami"
Taki w mym sercu ból się wciąż chowa,
Że to się spełni między nami.
Pieśń się też kończy i zorze gasną....
„Innymi ty pójdziesz drogami"
A ja samotna znów w ciszą, jasną
Noc, — gorzkimi zapłaczę łzami.

ODEBRAŁAM

„Młody Orzeł". Pozdrowienia z Fordonu odebrałam. Ślicznie dziękuję!

DZIĘKUJĘ!

„Lawrence". Dziękuję Panu za pozdrowienia z Działdowa i ślę ich Panu moc ze Żnina.

PRAGNĘ, ABY WSZYSTKIE WYWOŁANE PSEUDONIMY POSZŁY W PANA ŚLADY

„Zink". Pięknie, że nadesłał Pan swój adres. Zalegające do tej pory listy nie będą się już skarżyć i żalić na zaniedbanie, przeciwnie, cieszą się już miłym, papierowym szelestem w dłoniach adresata. Prawda?

Chciałabym, aby wszystkie pseudonimy, do których wołam w niniejszym numerze „Moich Powieści" o podanie adresu, poszły szybko w Pana ślady.

A teraz pozdrawiam Pana i oznajmiam w Jego imieniu „Marteczce", że przesyła je Pan moc najserdeczniejszych pozdrowień i tęskni i żałuje bardzo, że jest od niej tak daleko oraz zapytuje, dlaczego milczy i nie odpisuje.

Z BRAKU MIEJSCA, STRSZCZAM LIST

„Romantyczny Śpiewak". Cieszy mnie, że zdał Pan potrzebne egzaminy i teraz swobodniej może korzystać z pięknej pogody lata. Pisze Pan książkę? Hmm.... zatem życzę Panu dużo natchnienia.

Z braku miejsca, skracam list Pana do „Krainiaków", zamieszczając jednie komunikaty:

„Duśko", zasyłam serdeczne pozdrowienia. Znamy się przypuszczalnie.

„Królewno Mary", znam miejscowość, w której mieszkasz. Piękne doprawdy są Bory Tucholskie.

„Samotny Sfinksie", napisałem, lecz list nie został odebrany, proszę o dokładny adres.

„Biała Uajali", doceniam zalety Pani. Może zechce napisać Pani coś o sobie?

„Rozśpiewana Izabello", pozdrawiam. List wysłałem.

Dlaczego „Nieznany Poeta" nie odpisuje na ostatni list?

„Stella Maris", gdzież Pani obecnie zamieszkuje?

„Studentce Uniwersytetu St. Batorego, Kraków", dziękuję bardzo za tak piękny wierszyk.

Najserdeczniejsze pozdrowienia zasyłam „Złotowłosej Halusi", „Dziedziczce z Kopytkowa", „Blondynkowi z Pałuk", „Stachowi z Pałuk", „Maleńkiej Dzidzi", „Sonii", „Małej Konwalijce", „Elżuni z Torunia", „Smutnemu Gąsawianinowi" oraz wszystkim kochanym Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy".

Kto będzie na wykopaliskach biskupińskich, niech mnie proszę uwiadomi.

Teczka Wujka Janusza

KIEDYŚ...

Kiedyś, może po latach młodości,
Znów sen cudny przyśni się dziewczynie
I przeniesie ją hen... w świat uroczy,
W którym żyła w zadumań godzinie.

— I powrócą wiośniane uśmiechy,
Złote raje zachwyceń, serdeczne,
I powrócą dni wielkiej tęsknoty,
Niby nikłe, lecz w jej sercu wieczne...

Tak powoli... spłynie cisza dziwna
I omota serce słodkim czarem —
Pustka w duszy wypełni się znowu,
Zabrzmi śpiewem, jakimś znanym gwarem...

W kartoniku złożone karteczki
Zaszeleszczą dawną znów tęsknotą:
„Śnij dziewczyno swoje dawne cuda,
Śnij... swói dawny, wiośniany sen złoty".

„Biała Uajali".

WIĘCEJ UWAGI!

„Tadeusz Maria". Wiesze Pana są miłe i nastrojowe, to przyznać muszę, ale poza tym brak im jeszcze dużo. I tak: dobiera Pan złe rymy, a w wierszu „Wieczór" w ogóle ich Pan nie uwzględnia. Dalej, popełnia Pan fatalne błędy stylistyczne ,jak np. w wierszu — „Widziałem ciebie we śnie", kiedy mówi Pan do swojej miłej:

„Dobrze, więc powiem tobie słowo lotne:
Już niezadługo do ciebie powrócę"...

Najwyraźniej powiedział Pan pięć słów! W poezji nie można być tak niekonsekwentnym!!! Trzeba mówić zawsze z wyrachowaniem i namysłem!

I jeszcze jeden „kwiatek":

W wierszu — „Smutna dziewczyna" — mówi Pan tak: „nie słyszy szumu, ani ptasząt śpiew"... Nie słyszy ptaszęt śpiew? — czyżby zawiodła Pana gramatyka? A może to tylko małe przeoczenie? W każdym razie radzę Panu każdy wiersz drobiazgowo przemyśleć i następnie przesłać do krytyki.

Na zakończenie zostawiłem, dla Pana dość miłą wiadomość, a mianowicie: wiersz „Pożegnanie" jest dobry i zamieszczam go niżej. Na następną przesyłkę czekam niecierpliwie i mocno ściskam dłoń nowemu Sympatykowi mej „Teczki".

POŻEGNANIE

Jeszcze nie przyszłaś. Ja czekam w tęsknocie,
Za chwilę ruszy ciemny sznur wagonów,
Z komina prysną snopy iskier złotych,
Pojadę z swoją tęsknotą do domu.

Patrzę przez okno, bo wierzę, że przyjdziesz,
By mi powiedzieć słowa pożegnania — — —
O, tam w tunelu ciemnym cię już widzę
Jeszcze mi ciebie filar z cementu zasłania —

O! zobaczyłaś mnie, przyszłaś i mówisz,
Żeś się spóźniła, że nie mogłaś, ale —
Ale, że wierzysz, że prosisz, bym wrócił
I, abym pisał i nie tęsknił wcale,
Bo niezadługo znów będziemy razem —
Dziś jeszcze słowa w pamięci rozważam.

Tadeusz Maria Mański.

Raj kobiet

Mąż który pragnie mieć żonę rozrzutną

Dzieją się na świecie rzeczy dziwne i często wręcz absurdalne. Kto np. rozumny mógłby pomyśleć, że między mężem a żoną może dojść do dramatycznego zatargu dla tego, że mąż wymaga od żony, aby więcej wydawała na stroje..

Przecież to absurd. A jednak tak jest lub raczej było.

Męża od biedy można zrozumieć. Truudno natomiast uwierzyć, iż są kobiety, które nie chcą się stroić, choć mąż je o to błaga i daje im na to pieniądze.

A jednak są, lub przynajmniej znalazła się jedna taka zdumiewająca niewiasta.

To nie baśń ani streszczenie odrzuconego (z powodu zupełnego braku prawdopodobieństwa) scenariusza kinowego.

Ta niezwykła kobieta, istnieje, mieszka w Wiedniu i niedawno — zamiast otrzymać zasłużoną nagrodę — stanęła przed sądem. Iluż mężów uważałoby się za wybrańców losu, gdyby mieli taką żonę? Tymczasem, jak na złość, skromna wiedeńka musiała trafić na mężczyznę równie wyjątkowego, lecz w przeciwnym kierunku.

Nie ma porządku na tym świecie!

Bo dlaczego pani Erna M. nie została żoną jakiegoś ubogiego urzędnika, lecz wyszła za bogatego finansistę, dyr. O. M., który obecnie chce z nią się rozwieść? I dlaczego p. O. M. poślubił właśnie taką kobietę? Na milion kobiet, a bodaj że na 10 milionów, trafia się jedna podobna przeciwniczka elegancji i znacznie łatwiej jest wygrać wielki los na loterii niż znaleźć ten wyjątek. P. O. M. nadzwyczajnego szczęścia nie tylko nie umiał ocenić należycie, lecz uważał, że dzieje mu się — krzywda. Sam pojmował, iż jego pretensje muszą wydać się co najmniej osobliwymi, dlatego też skargę rozwodową, którą wniósł do sądu, zaczął od takiego wyjaśnienia:

„W naszych czasach, kiedy większość ludności zmuszona jest do największych wysiłków w walce o byt, wszczęcie procesu w obronie zbytku i rozrzutności będzie może wydawało się nienormalnym i niemoralnym. Ale dla człowieka bogatego, należącego do wyższego towarzystwa, elegancja i zbytek mają to samo znaczenie, co dla biedaka para bucików, bez której nie może zarabiać, bo w czym by chodził do pracy. Bogactwo męża nakłada pewne obowiązki na ożnę, która powinna liczyć się z tym, czego wymagają interesy męża".

Już ten wstęp pokazuje, co się dzieje za kulisami świata finansowego, odsłania ciekawe tajemnice. Dalszy ciąg skargi dyrektora O. M. ujawnia je całkowicie. P. O. M. objaśnia sądowi, że zwykle poważne operacje finansowe dochodzą do skutku dopiero po „prologu", który rozgrywa się w salonach. Dlatego jest rzeczą bardzo ważną, ażeby małżonka wielkiego finansisty wypełniała bez zarzutu swoje obowiązki reprezentacyjne. Do tych obowiązków należy przede wszystkim elegancja i zbytek. Te zewnętrzne oznaki dobrobytu zwiększają kredyt, a niekiedy są nawet główną jego podstawą.

Pod tym względem dyrektor O. M. miał powody do niezadowolenia z żony i to sprawiło, że, gorzko żaląc się na postępowanie małżonki, prosi teraz o rozwód. Pani dyrektorowa wyglądała w towarzystwie jak kopciuszek. Mimo nalegań męża, nie chciała się stroić, klejnoty trzymała w szufladzie, zamiast dumnie je obnosić, i nie podobna było jej nakłonić do wydawania balów i przyjęć, które by ułatwiły dyrektorowi nawiązywanie pożytecznych stosunków. Nie składała też wizyt osobom, na których jej mężowi bardzo zależało.

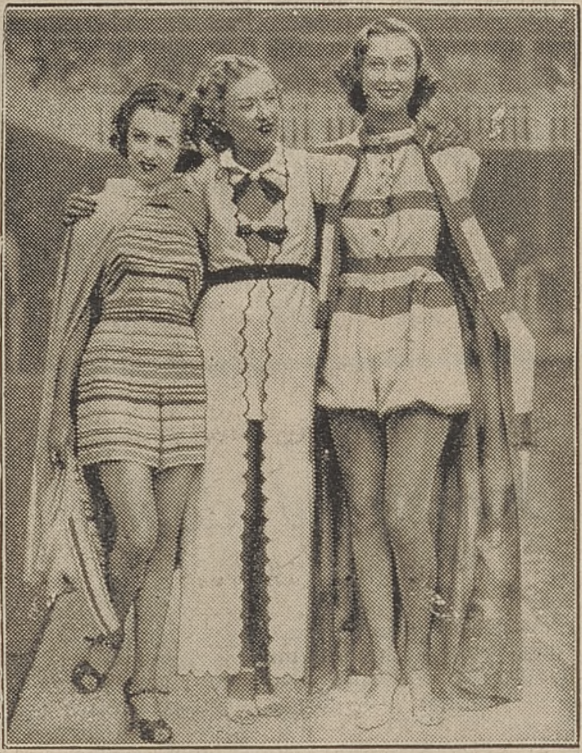
„Tak jest, to wszystko prawda", oświadczyła przed sądem pani Erna M. Nie wyraziła jednak skruchy. Przeciwnie, oznajmiła, że nie poczuwa się do żadnej winy. „Mąż", rzekła, „nie powinien posługiwać się żoną, jako pomocnicą w interesach. Żona nie ma obowiązku być żywą reklamą, chodzącą wystawą bogactwa męża".

Sąd przyznał jej całkowitą słuszność i orzekł, iż żona powinna być przede wszystkim gospodynią i matką, nie zaś pomagać mężowi w robieniu interesów.

Z przyczyn formalnych ogłoszenie wyroku w tej niezwykłej sprawie odroczono.

Stanowisko jednak zajęte przez sąd pozwala przewidywać, że zwycięstwo odniesie skromna żona, nie zaś „niezrozumiany" mąż.

Według tradycji, należałoby na zakończenie zwrócić się do czytelniczek i czytelników z pytaniem, co oni o tym sądzą, kto ich zdaniem ma tu rację. Ale czy warto zastanawiać się nad wypadkiem tak wyjątkowym? Gdzież u nas znajdzie się mąż, któryby pragnął, aby żona więcej wydawała na stroje? A już pani podobnej do dyrektorowej M. napewno nikt u nas nie spotkał. I nie radzimy szukać. Byłoby to zupełnie beznadziejne przedsięwzięcie.



Trzy urocze francuskie modelki prezentują najmodniejsze kostiumy plażowe.

Świat i życie

Pierwszy uniwersytet policyjny na świecie

Niedawno, jeden z członków angielskiej rodziny królewskiej, otworzył uroczyście w Hendon pod Londynem „Metropolitan Police College", założony dzięki obecnemu najwyższemu szefowi centralnego londyńskiego urzędu śledczego, t. zw. „Scotland Yard'u" lordowi Trenchardowi. Organizacja tej szkoły jest pierwszą na świecie i jedyną w swoim rodzaju. Jest ona mianowicie jakby uniwersytetem policyjnym, gdzie mają się kształcić wyżsi oficerowie policji.

Podobnie jak młody człowiek, który pragnie zostać oficerem w armii lądowej czy flocie, musi ukończyć odpowiednią szkołę wyższą, gdzie nabywa nietylko wszelkich wiadomości fachowych, ale jeszcze otrzymuje kulturę odpowiednią dla swego stanowiska, tak i teraz oficer policyjny będzie człowiekiem wysoce wykształconym, co mu jest koniecznym do zwalczania przestępców często również ludzi o wysokiej kulturze osobistej i wysokim wykształceniu.

Lokale, w których mieści się szkoła, są bardzo elegancko urządzone. Chodzi o to, by ściągnąć do szkoły zdolnych ludzi, którzy zamiast się poświęcić innym zawodom, mają wybierać policyjny. Elegancja urządzeń ma również przygotować ich do obycia w najlepszym towarzystwie, żeby następnie umieli się wszędzie znaleźć i nie wyróżniali się w salonach swym brakiem znajomości zwyczajów eleganckiego towarzystwa, co nieraz szkodziło dotychczas śledztwom za przestępcami. Szkoła będzie oparta na zasadach naukowych i studia w niej przeprowadzone zapoznają uczni ze wszystkimi najnowszymi zagadnieniami kryminalistyki. Będą oni również studiować rozmaite pomocnicze nauki związane z zawodem.

Policja londyńska swą dzisiejszą organizację dostała w roku 1829, to znaczy przeszło 100 lat temu. Została ona stworzona przez sir Roberta Peela, wielkiego ministra. Peel nie wymagał od nowowstępujących żadnych specjalnych kwalifikacyj poza uczciwością i odpowiednim zdrowiem fizycznym. Wszysacy zaczynali służbę od prostych posterunkowych i z czasem dochodzili do najwyższych stanowisk, które były właśnie obsadzone przez tych starych wysłużonych członków policji. Niestety ci ludzie mieli coprawda doświadczenie, ale nie mieli odpowiedniego wykształcenia. Dlatego też organizacja ta wystarczał wówczas, kiedy na cały Londyn było 3.000 policjantów i kiedy stolica Anglii była spokojnym i stosunkowo niewielkim miastem.

Dzisiaj, kiedy jest w Londynie 20.000 policjantów, a miasto jest jednym z największych na świecie zbiorowisk wszelkiego rodzaju elementów międzynarodowych, system ten nie może już wystarczać.

Kryminaliści dzisiejsi, to często ludzie wykwalifikowani, ludzie zdolni, którzy przy popełnianiu przestępstwa posługują się wszelkimi zdobyczami wiedzy nowoczesnej. Nietylko używają oni swych kwalifikacyj, żeby przekraczać istniejący porządek prawny, ale również żeby bronić się przed stróżami tego porządku. W tej walce policjanci są dzisiaj zwyciężani na całej linii. W r. 1933 popełniono w Londynie 13.800 włamań, z tego aż 11.006 nie zostało wyświetlonych, to znaczy sprawcy ich nie zostali ujęci i ukarani. Procentowo 87 włamywaczy na 100 przebywa do dzisiaj na wolności. Tylko 13 na 100 zostało ukaranych.

Dzisiejszy szef policji, lord Trenchard podkreśla ten stan i powołuje się na statystykę, by uzasadnić swą reformę i założenie szkoły. Na dwadzieścia morderstw popełnionych, w wymienionym okresie osiemnaście zostało „załatwionych" z pomyślnym wynikiem dla władz. Ale należy dodać, że zasługi policyjnej w tym jest niewiele, bo z tych 20 zabójców, 13 popełniło samobójstwo na miejscu zbrodni, a więc policja nie miała wiele roboty nad wykryciem sprawców.

Te wszystkie dane skłoniły szefa policji do przeprowadzenia również poważnych zmian w samej organizacji służby.

Dotychczas w Londynie było 20.000 policjantów, z których 1000 należało do służby śledczej, byli to ludzie wybrani, którzy przeszli specjalne szkoły śledcze. Zajmowali się oni tylko poważniejszymi przestępstwami. Reszta 19.000 byli to, t. zw. zwykli posterunkowi, którzy pełnili służbę uliczna itd.

Obecnie wszyscy policjanci londyńscy będą musieli przejść odpowiednie kursa policyjne i wszyscy właściwie muszą należeć do elity, Wszyscy będą wysoko wykwalifikowani i wszyscy klolejno będą służyli w owej służbie śledczej, w owym wybranym tysiącu. Tam będą mogli pokazać, co umieją. W ten sposób będzie można wybrać najlepszych i zostawić ich na stałe w służbie śledczej.

Jednocześnie zostało wydane specjalne prawo, Police Bill, które nakazuje sygnalizować natychmiast do centralnego urzędu w Londynie wszystkie tajemnicze przestępstwa, gdzie znalezienie sprawców natrafią na jakiekolwiek trudności. Urząd śledczy londyński decyduje, czy śledztwo ma być prowadzone przez siły policyjne miejscowe, czy też wysyła swych specjalistów.

Poza tym ma być stworzonych wiele nowych stanowisk wyższ. w policji, które pozwolą lepiej doglądać służbę i pozwolą posłuigwać się lepszymi ludźmi Przede wszystkim te stanowiska są przeznaczone dla wychowanków tej nowej szkoły policyjnej. Reformy te natrafiają coprawda na pewien opór ze strony związków zawodowych policjantów, którzy chcieliby, jak dotychczas, większość najlepszych stanowisk zachować dla swych wysłużonych członków. Stracą na tej reformie również wysłużeni oficerowie armii i floty, z których wielu dostawało, po wysłużeniu odpowiedniej ilości lat w służbie liniowej, wyższe stanowiska w policji.

Wśród czerwieni mięsa

Ostatnie zarządzenia wykonawcze, dotyczące humanitarnego uboju, zwróciły uwagę na proces produkcji mięsa jadalnego. Stosowanie brutalnych sposobów mordowania zwierzęcia przestaliśmy uważać za konieczność. Siła apetytu tak często przełamuje w nas pamięć rzeczy, które przy bliskim zetknięciu widzi się wśród mdłego zapachu krwi. Pełne emocji zwiedzanie rzeźni połączonej z placówką eksportową zawdzięczamy p. inż. P. Lassocie, kierownikowi jednego z większych zakładów w zachodniej Polsce. Jesteśmy świadkami bezpośredniej egzekucji trzody chlewnej. Wypędzają ją z przybocznego chlewu do kojca, gdzie zbita w jeden kąt kwiczy i charczy na strychu. Zaostrzonym młotkiem wymierza rzeźnik świni kilka ciosów w łeb, po czym przebija ją nożem. Białe ogromne wieprze krwawią i kolejno wędrują do kadzi z gorącą wodą. Tam odbywa się oparzanie, usuwanie sierści, wnętrzności, a w końcu ćwiartowanie.

Oglądamy ubój bydła rogatego, odbywający się przy pomocy maski, którą nasadza się na łeb zwierzęciu. Jedno uderzenie młota i ostry klin grzęźnie w mózgu zwierzęcia, miażdżąc go i pozbawiając przytomności. W miarę zwiedzania tej olbrzymiej instytucji, która dziennie pochłania. setki sztuk, aby przerobić je na kawałki rozdrobnionego mięsa, na tłuszcz i kości, dowiadujemy się od inż. Lassoty szczegółowych danych o manipulacjach, jakie odbywają się w tym nowocześnie urządzonym i pomyślnie rozwijającym się zakładzie.

Istnieją w rzeźni miejskiej tendencje, zmierzające do ogłuszenia rogacizny specjalnymi nabojami, nawet przy uboju rytualnym. Trzeba dołożyć starań, aby te zamierzenia jak najprędzej zrealizować. Podobnie okrutny, jak ubój rytualny, jest ubój świń na eksport, t. zw. systemem angielskim. Zawieszona za jedną nogę świnia wędruje specjalnym urządzeniem w górę, gdzie czeka rzeźnik, który przebija ją nożem. Świnia wędruje dalej, krwawiąc po drodze, do kotła, gdzie się ją oparza, zdziera sierść, szczecinę, wreszcie opala, a po tym ćwiartuje i t. p. i tu projektuje się wprowadzenie ogłuszenia. Jak wiadomo, każde mięso po uboju zwierzęcia musi być badane, czy nie zawiera wągrów (tasiemców), czy też włośni (trychin). W rzeźni znajduje się specjalne laboratorium, w którym bada się skrupulatnie mięso każdej ubitej sztuki. Badanie trychinoskopem, używanym przez badaczy mięsa, wobec masowego uboju w rzeźni byłoby niemożliwe. To też w laboratorium znaj-

dują się trzy specjalne aparaty. Do takiego aparatu zakłada się szkła z mięsem dwóch ubitych sztuk, po czternaście próbek z każdej. Szkła są numerowane, tak, że pomyłka jest wykluczona. Silny promień światła z aparatu rzuca następnie na ścianę 80-krotnie powiększony obraz każdej próbki. Powiększenie to umożliwia wyszukiwanie w mięsie, zwiniętych w kłębek w specjalnych komórkach, włośni, czy też zaopatrzonych w przysawki główek tasiemców. Ma więc rzeźnik kino... z tasiemcami i włośniami. Po zbadaniu w laboratorium, każdą ubitą sztukę bada jeszcze lekarz weterynarii, który przybija pieczątkę, jeśli mięso jest zdrowe, lub w razie stwierdzenia wągrów, czy włośni, nakazuje mięso zniszczyć. Po wszystkich zabiegach, poćwiartowane mięso przetransportowuje się do olbrzymich hal chłodni, w której specjalne maszyny wytwarzają niską temperaturę, a nawet sztuczny lód, potrzebny latem. W chłodniach mieszczą się specjalne tunele, w których mają swoje komórki chłodnicze poszczególni rzeźnicy. Dalej, mieszczą się na terenie rzeźni dwie przetwórnie, w których wytapia się sadło i słoninę, oczyszczalnia jelit, odznaczająca się niebardzo wykwintnym zapachem, sortownia skór bydlęcych i chlewy.

Ze świata

Dziwy i cuda na biegunie północnym

Ekspedycja sowiecka, która przebywa obecnie na biegunie północnym, uzupełni, zapewne w najbliższym okresie wiele luk w naszym pojęciu o północnej pustyni lodowej nowymi odkryciami. Z dotychczasowych wiadomości o biegunie północnym niezmiernie ciekawe są te, które mówią o różnych dziwach i sensacjach, jakie napotyka tam człowiek.

Biegun północny jest w pewnym sensie kresem świata. Gdyby np. ze stu różnych punktów równika wysłać sto osób w stu różnych kierunkach na północną półkulę — wszyscy spotkaliby się na biegunie północnym, o ile, orientując się według gwiazd, każdy wędrowałby niezmiennie w obranym przez siebie kierunku. Ciekawe, że gdyby chciano orientować się według kompasu, punkt spotkania znalazłby się o 2000 km na południe od bieguna północnego, na kanadyjskim półwyspie Boothia Felix, tu bowiem znajduje się magnetyczny biegun, do którego igła magnetyczna ustawia się prostopadle.

Wyobraźmy sobie teraz, że jesteśmy na biegunie północnym i obserwujemy nasz kompas. Igła wskazuje oczywiście na półwysep Boothia, który geograficznie leży na południe od bieguna. Stańmy frontem do tego punktu: na lewo będziemy mieli wschód, na prawo — zachód, z tyłu — północ. Jeżeli teraz zwrócimy się frontem ku południowemu słońcu, tj. ku południowi, jak będzie z kierunkami świata? Otóż na tym końcowym punkcie świata istnieje tylko jeden kierunek nieba; w jakąkolwiek stronę się zwrócimy, wszędzie jest południe!

Pod względem komunikacyjnym biegun nie jest oczywiście „końcem" świata, jest on nim z punktu widzenia siatki geograficznej, którą człowiek rozpiął na globusie dla swojej orientacji. Równoleżnik — stopień szerokości — jest kołem, biegnącym równolegle do równika. Na żadnym z tych kół nie da się dojść do „końca". Inaczej jest z południkami — stopniami długości. Południk 0, idący przez Londyn—Greenwich, kończy się na biegunie, chociaż jego linia idzie dalej, ale wtedy nazywa się on 180 stop. długości. W ten sposób kończą się na biegunie północnym — albo zaczynają — wszystkie południki. Człowiek zatym stoi tam na każdym z pośród 360 południków, gdy 90 równoleżnik pod jego nogami stanowi tylko punkt.

Dziwne rzeczy dzieją się na biegunie z czasem, można tu bowiem zawsze obierać sobie dowolną porę dnia i nocy. Swego czasu, w celu ujednostajnienia zegarów w pewnym obrębie, utworzono t. zw. „strefy czasowe". Uzgodniono to w ten sposób, że pomiędzy każdymi dwoma południkami, oddalonymi od siebie o 15 stop. zrównano wszystkie zegary. Tak więc pomiędzy 7 i pół st. wschodniej długości wszędzie jest czas „środkowo-europejski" itd. Ponieważ zaś wszystkie południki spotykają się na biegunie, spotykają się tam również wszystkie pory dnia...

To samo dotyczy dni tygodnia. Linia zmiany daty, od której według międzynarodowej umowy rozpoczynamy dzień, biegnie wzdłuż 180 południka, kończącego się jak i inne, na biegunie. Jeżeli na granicy tej jest godzina 5-a, a na wschód od niej mamy 5-tą godzinę niedzieli, na zachód — tę samą godzinę poniedziałku. Na biegunie zaś można sobie obrać niedzielę lub poniedziałek, jak się chce.

Inaczej jest natomiast z latem i zimą, tj. nie można sobie tych pór dowolnie obierać, ale za to nie potrzeba ani kalendarza, ani termometru, ażeby się orientować w porze roku. Zima to sześć miesięcy zupełnej nocy, latem przez pół roku słońce nie zachodzi, okrążając człowieka, jak lotnik na samolocie szczyt góry.

Stańmy teraz na biegunie twarzą do słońca i obracajmy się według strzałki zegara, ale tak wolno, by zatoczyć krąg nie prędzej niż w ciągu 24 godzin; przez cały ten czas słońce będzie nam ciągle świeciło prosto „w twarz". Gdyby ktoś chciał w ten sam sposób „opalać się" na równiku, musiałby w ciągu 24 godzin gonić ziemię na zachód prześcigając po 1665 km na godzinę. Na naszej szerokości trzeba na to 1000 km na godzinę, a na szerokości Szpicbergu podróż dokoła ziemi można dokonać już w ciągu 24 godzin.

Niezwykle sensacyjnie przedstawia się na biegunie następujący eksperyment. Wyobraźmy sobie, że stojąc na biegunie północnym bierzemy liniał, kątomierz i budujemy trójkąt. Zakreślamy na biegunie kąt 90 st., w ten sposób, że jeden bok zamierzonego prostokąta ma stanowić południk, 0, drugi południk 90 wschodniej długości. Obydwie prostokątne przedłużamy aż do równika, który obierzemy za trzeci bok. Ponieważ południki są jednakowej długości, otrzymamy trójkąt prostokątny równoramienny, czyli że kąty przy równiku powinny mieć po 45 st., zgodnie z geometrycznym twierdzeniem, że suma kątów w trójkącie równa się 180 st. Co się jednak dzieje? Południki są prostopadłe do równika, czyli że obydwa kąty przy równiku mają po 90 st. Innymi słowy otrzymaliśmy trójkąt, którego suma kątów wewnętrznych równa się... 270 st. Dla nas jest to jeszcze jeden dowód, że nasza planeta jest kulą.

Tadeusz Rawicki.

Domek w dolinie

(NOWELA)

Pensjonat „Muza" znaczył się w słońcu białością smukłych ścian. Letnicy spożywali właśnie pierwsze śniadanie. Ten i ów rzucał projekty spędzenia dnia, który przecież zapowiadał się pogodą czystą i pewną. Błękitu nieba nie plamił najdelikatniejszy nawet obłok chmur. Z gór wiał lekki, chłodny wiaterek.

Przystojny blondyn o hebanowej cerze, zjadł dzisiaj śniadanie o wiele szybciej niż zwykle. Osuszył usta serwetką, powstał od stołu i znikł za drzwiami jadalni.

W ślad za nim posypały się dyskretne uśmiechy, mrugnięcia i szepty. Starsza wyglądem brunetka, o której mówiono, że podobno bardzo lubi chłopców i li tylko w tym celu przyjeżdża w góry, utrzymywała, że Czerski zamierza chyba wyjechać. Kto wie, czy już nawet nie pobiegł na dworzec kolejowy? Ale w takim razie powinien był się pożegnać!

Powiedziała to tonem tak smętnym, jakby po stracie kogoś bliskiego. Swoją drogą, jej umizgi do przystojnego blondyna nie były obce nikomu. Niektórzy posądzali ją nawet o „zakochanie się do rozpaczy".

Innego natomiast zdania był jej prawy sąsiad przy stole. Twierdził, że Czerski w ogóle nigdzie nie wyjechał, lecz umówił się poprostu z którąś z letniczek na ranny spacer w góry, a chcąc być punktualnym itd.

Ta hipoteza zdawała się być najprawdopodobniejsza, zwłaszcza, że zauważono brak przy stole Izy Okońskiej. A może właśnie Czerski poszedł z nią w góry?

Tymczasem Iza, stojąc w cieniu leszczyny, obserwowała z daleka pensjonat. W czystym powietrzu widziała go jak na dłoni.

Nagle ktoś wyszedł na wschodni balkon i przysłoniwszy oczy dłonią, lustrował okolicę. Iza nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. nicznie.

— Niech sobie wypatruje. Figę zobaczy. Wariat, ale się zawziął dziś na mnie. Śniadania nie dokończył, i tak... nic z tego!... Hej!...

Dźwięczny głosik Izy rozbiegł się w przestrzeni i odpowiedział kilkakrotnie echem.

Czerski snać usłyszał głos, bo nagle znikł z balkonu. Napewno puści się w pogoń. Nie dogoni!...

W tejże chwili ktoś odpowiedział na zew Izy, bliźniaczym: Hej! Ujrzała młodego mężczyznę w sportowych spodniach i koszuli. Stał wsparty o głaz i czekał. Czy na nią czekał? Iza nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

Był to ten sam turysta, którego spotykała często na spacerze. Pamiętała doskonale jego dyskretnie spojrzenia jakimi ją zawsze darzył. Iza nie dowiadywała się jednak nigdy, kim on jest? Czuła tylko dziwną tęsknotę w sercu i bezwiedny pociąg do samotnych spacerów w góry.

Chociażby dziś... Na jego niespodziewany widok serce zakołatało jej mocniej w piersiach. Szła z trudem. Jeszcze krok, a stanie z nim oko w oko. Już stanęła.

Poruszył się zlekka, uśmiechnął i skłonił.

— Dzień dobry pani.

Odpowiedziała mu uprzejmie, siląc się na spokój. Coś ją pchało w jego ramiona. Dłonie ich złączyły się uściskiem.

Tad przepuścił ją na ścieżce i poszli razem, zgodnie jak bliscy znajomi. Mówili mało. Tad okazał się mało rozmownym. Nie wiadomo czy pod wpływem piękna otaczającej zewsząd przyrody, czy też szczęścia, które przepoiło jego serce z chwilą poznania Izy?

I Iza straciła coś ze swej gadatliwości. Czuła się więcej onieśmieloną i poważną. Nikt by w niej teraz nie poznał tej, którą tak lubili letnicy „Muzy".

Wiadomo, że bratanie się dusz i serc wymaga uroku, ciszy, nastroju.

W swej sielankowej wędrówce stanęli na zrębie skały przed małą, uroczą doliną. Wokoło rosły świerki i jodły. Niżej płynęła srebrna nić strumyka. Na łące kwiaty, tysiące kwiatów. W pośrodku stał maleńki, biały domek. Nad daszkiem huśtała się lekko antena.

Iza omal nie krzyknęła z podziwu.

— To mój domek — wyjaśnił Tad. Sądzę, że pani wstąpi do mnie na chwilę. Proszę mi nie odmówić.

Ujął ją za rękę jak dziecko i sprowadził po pochyłości wzgórza. Niebawem pod stopami uczuli miękkość i chłód trawy. Iza narwała zaraz pęk kwiatów i tak umajeni weszli do domku.

Stało tam biurko z kilkoma tomami poezji, powieści i rękopisów, leżanka oraz radio.

Iza z prawdziwą przyjemnością spoczęła na leżance. Była uśmiechnięta i czegoś bardzo zadowolona. Nie mogła się nadziwić.

— Tu jest naprawdę wesoło i miło — pochwaliła — lepiej niż w komforcie pensjonatu. Tad uśmiechnął się zadowolony.

— Rok właśnie mija, jak tu mieszkam. Uciekłem poprostu od ludzi, by w ciszy i spokoju pracować. W lecie towarzyszą mi: słońce, kwiaty, poszum świerków i jodeł. Zimą gwiżdże i hula wiatr.

Zapatrzył się w Izę i zamyślił. Wreszcie zbliżył się do radia. Popłynęły tony sentymentalnego walca.

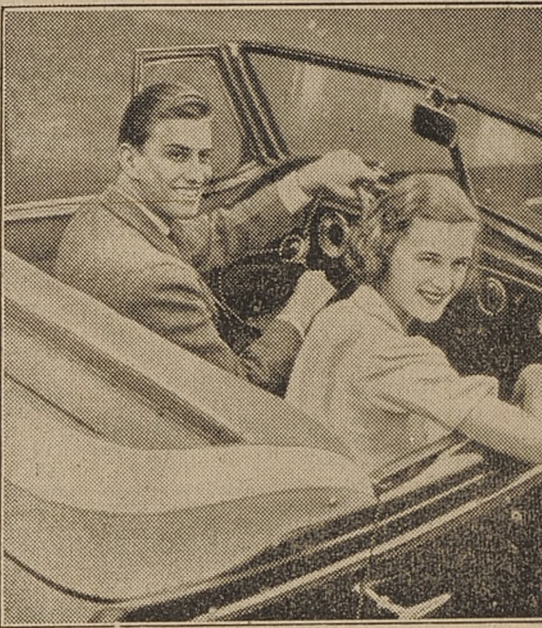
— Jeśli pani pozwoli, zatańczymy walczyka. Już dawno nie tańczyłem.

Zgodziła się.

Objął ją silnie ramieniem i tańczyli długo wśród blasku słońca, sączącego się przez maleńkie szybki okien, wśród powodzi i zapachu kwiatów.

Czas biegł.

Koniec.



Radosną jest jazda samochodem w dwójkę, zwłaszcza, gdy tworzą ją osoby tak znane i popularne, jak syn prezydenta Stanów Zjednoczonych, Franklin D. Roosevelt i jego niedawno zaślubiona żoneczka.



W Anglii odbył się niedawno konkurs na naj-ładniejsze i najzdrowsze dziecko. Szczęśliwymi zwycięzcami okazały się te dwa przemiłe bobasy. Jeden z nich jeszcze toleruje, lecz drugi wyraźnie potępia zakłócenie ich dziecięcego spokoju.

— Panie baronie, wybierasz pan bardzo wygodny sposób załatwienia sprawy — odparł Herbert — ale właśnie brutalne wystąpienie pańskie daje mi dowód pańskiej winy. Chce mnie pan groźbami onieśmielić, panie baronie, ale to się panu nie uda. Będziesz pan teraz ciągle pod moją obserwacją; będę wiedział o każdym pańskim kroku i nie spocznę, zanim nie znajdę dowodów podwójnej zbrodni pana.

Mówił to z wielką powagą i nie przeczuwał, że słowa te zadecydują o jego losie.

Baron był przez chwilę jakby oszołomiony groźbami Herberta. Wkrótce jednak odzyskał równowagę.

Ten człowiek musi zejść z widowni świata! — pomyślał. — Lecz nie śmiem go zamordować, ani w inny sposób usunąć, bo zwróciłoby to zasłużone podejrzenie, gdyby tu, w odległym tym zakątku, znikała tak jedna osoba po drugiej.

Przez długą chwilę układał prawdziwie szatański plan, który w rezultacie dodał mu pewności siebie i rozjaśnił stroskane oblicze.

Z uśmiechem na ustach wszedł do salonu.

W bezsłownym porozumieniu się odegrała młoda para małą komedię wobec hrabiowskich rodziców, udając wielkie dla siebie czułości, rzucając sobie wzajem tęskne, rozmarzone spojrzenia i serdeczne słówka.

Egona spowodowała do tego materialna zależność od teścia; wiedział bowiem dobrze, że hojność hrabiego Dornbrucha zmniejszyłaby się znacznie, gdyby wiedział jak rzeczy stoją.

Ada zaś wstydziła się przed swoimi rodzicami.

Rodzice jej tyle lat już ze sobą żyli, a hrabia dotąd jeszcze formalnie na rękach nosił dobrą i miłą swą małżonkę.

Cóżby więc oboje powiedzieli na to, gdyby się dowiedzieli o niezgodzie panującej między młodą parą?

Tak tedy z egoistycznych pobudek odegrali Egon i Ada całą komedię dość zręcznie, a dobrzy rodzice pozwolili sobie tym oczy zamydlić.

Po kilkugodzinnej, miłej pogawędce, oświadczył baron, że musi dziś jeszcze pojechać do zamku Königswalden, aby zobaczyć, co się tam dzieje.

— Kochany Egonie, to doprawdy za wiele gorliwości po całej nieprzespanej nocy — rzekła hrabina z uznaniem. — Proszę zostać dziś jeszcze tu i wypocząć! Wiem ja to z własnego doświadczenia, że jak się panowie raz zabiorą do swoich ksiąg i rachunków, to już i końca tej pracy nie ma.

Baronowi schlebiało to niezmiernie, że teściowa ma go za wzór pilności i pracowitości. Z zadowoleniem pogładził się po brodzie.

— Niestety, nie mogę zadośćuczynić prośbie kochanej mateczki — rzekł z przymileniem — bo nie głupie jest przysłowie o oku pańskim, które konia tuczy. Doniesiono mi pisemnie, że sprzedaż pewnej części lasu ma się odbyć w tych dniach, muszę się więc dowiedzieć o szczegóły i pokazać moim ludziom, że się tym interesują, bo inaczej i oni ostygną w zapale.

— Egon ma zupełną słuszność — potakiwał mu hrabia. Ale jutro będzie baron z powrotem? — dodał, zwracając się do niego.

— Nie mogę tego dokładnie oznaczyć — odparł zagadnięty. — Może upłynie i kilka dni, zanim pozałatwiam wszystkie naglące sprawy. Kochaną Adę zostawiam przecież pod dobrą opieką!

Mówiąc to, rzucił Adzie czułe, miłości pełne spojrzenie, na które ona słodko się uśmiechnęła, potem pocałował ją w czoło, pożegnał się serdecznie ze swoimi teściami i odjechał do Königswalden.

W rozmowie z zarządcą zapytał potocznie o Alojzego.

Zarządca, który kasztelana nienawidził, odpowiedział, wzruszając ramionami:

Puścił on się widocznie znów na złe drogi, bo brał udział w jakiejś bójce i leży teraz pobity na kwaśne jabłko w jakimś szpitalu już od 4 tygodni. Natura ciągnie wilka do lasu.

— Kto strzeże zamku Felseg w czasie jego nieobecności? — zapytał baron, marszcząc brwi.

— Czy pan baron nie przyznaczył sam cygankę Ilonę na zastępczynię kasztelana? — zapytał zarządca zdziwiony.

— Ani mi się śniło — rzekł baron Sturmfeder gniewnie.

— No, to już wszystko ustaje. Świat się kończy — zawołał oficjalista — a to zuchwałe stworzenie z taką pewnością siebie utrzymywało, że pan baron pozwolił jej zastępywać Alojzego, że wszyscyśmy święcie uwierzyli jej.

Zeznania zarządcy, co do kasztelana i Ilony, wprowadziły barona z bardzo wielu powodów w diabelnie zły humor.

Czemu nie zabili Alojzego lepiej na śmierć? Byłby się pozbył w tak wygodny dla siebie sposób człowieka, który mu ciążył tym, że znał wszystkie jego zbrodnie, i których często był narzędziem. Był to okropny pech, że Alojzy w bójce tej nie zginął. Jaka byłaby to ulga dla barona!

Z drugiej zaś strony, mógłby mu się Alojzy właśnie w tej chwili bardzo przydać do wykonania pewnych planów. Ale cóż, kiedy leżał pobity w szpitalu, a nikczemny baron musiał się oglądać za stosownym następcą.

Twarz Egona sposępniała.

— Jakże tak prędko znaleźć kogoś zaufanego? — myślał.

Wpadła mu na myśl Ilona. — Sądził, że zwinna i sprytna cyganka mogłaby być dobrym narzędziem dla jego planów.

— Zuchwałość cyganki zasługuje na ostrą karę — rzekł zarządca — jak ona śmiała tak bezczelnie mnie oszukać.

— Zostaw pan to mnie — mitygował go baron — mój nieboszczyk kuzyn utrzymywał stosunek z tą ogorzałą pięknością, a ona widocznie bije na to.

Zarządca spojrzał na barona z ogromnym zdziwieniem. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie. Nie miał on jednak odwagi, sprzeciwić się baronowi, który mówił dalej:

— Zresztą pojadę jutro sam do Felseg i wszystko tam załatwię.

— Ależ panie baronie, droga do Felseg jest teraz okropna, prawie nie do przebycia — wtrącił zarządca — niech się pan baron nie naraża i odłoży wycieczkę swą tam na kiedyindziej.

Ale Egon miał bardzo ważne powody, dla których obstawał przy swoim zamiarze, bo bez pomocy pięknej cyganki nie mógł doprowadzić do celu diabelskiego swego planu.

Skinieniem dał baron zarządcy znak, że go więcej nie potrzebuje, lecz ten

nie ruszał się z miejsca, widocznie miał jeszcze coś na sercu.

Egon nie miał zwyczaju ośmielać proszących, nie uczynił też wyjątku ze swym oficjalistą, który po długim wahaniu, odezwał się wreszcie nieśmiało:

— Proszę mi wybaczyć, panie baronie, że pana poproszę o coś.

Egon zmarszczył brwi.

Czyżby to miał być wstęp do prośby o podwyższenie płacy?

Po chwili jednak odrzucił tę myśl, bo zarządca wiedział dobrze, że baron nie miał prawa do wyznaczania płac. Gospodarował on tu tylko jak właściciel, ale nim nie był. Na prośbę zarządcy rzekł niecierpliwie:

— Czego znów? Co za nowe pretensje?

— Otrzymałem mały spadek — odpowiedział zarządca — jakiś mój krewny zamieszkały gdzieś bardzo daleko umarł i zrobił mnie swym spadkobiercą.

— Winszuję — rzekł baron sucho.

— Zostawił mi dom z ogrodem i trochę pola — ciągnął dalej rządca — chciałbym całą tę schedę sprzedać i mam już nawet kupca, ale muszę być obecnym przy sprzedaży.

— A więc o urlop chodzi? — zapytał baron z rozpogodzoną miną.

Było mu to bardzo na rękę, że zarządca mu się tak w sam czas usuwa z drogi. Rzekł więc z uprzejmością, którą rzadko wobec swoich podwładnych stosował.

— Może pan odjechać na jakie dwa tygodnie, już ja tu sobie jakoś sam poradzę.

— Pan baron taki łaskaw — odrzekł zarządca, uszczęśliwiony tą niespodziewaną dobrocią swego pana — nie będę łaski tej nadużywał i wrócę jak najprędzej.

— Nie śpiesz się pan — mówił mu Egon — tak ważnych interesów nie można tak nagle załatwiać, bo to nigdy na dobre nie wychodzi. Zresztą i mała odmiana w tej monotonności bardzo dobrze może podziałać na pana. Jedź pan spokojnie na dwa tygodnie, bo nie ma tu narazie żadnych ważnych zajęć, dla których śpieszyćby się pan musiał.

— Z wyjątkiem sprzedaży lasu, nie — potwierdził zarządca.

— Zdaje mi się, że należy to już raczej do leśniczego Herberta? — zapytał baron Egon, jak gdyby od niechcenia.

Wiedział bowiem dobrze, że tak było, udawał tylko, że nie jest pewny.

— Sprzedaż sama należy do Herberta — odparł oficjalista — ale znaczną sumę z tej sprzedaży ja mam wziąć w opiekę. Z tego to powodu trudno mi właściwie na razie wyjechać, bo nie wiem komu właściwie mógłbym zaufać przechowanie tak dużej kwoty. Mogłoby to być pokusą dla niejednego z młodych urzędników.

— To niech tymczasowo Herbert tę sumę przechowa — zadecydował baron.

Egon triumfował w duszy. Opatrzność sprzyjała mu widocznie. Leżało to w jego intencjach, aby pieniądze, otrzymane za las, zostały na razie w ręku Herberta, a teraz złożyło się to tak samo przez się i nikt nie przeczuwał wchodzących tu w grę jego złych zamiarów.

— A więc staje na tym — rzekł baron — że odjeżdża pan jutro.

— Pieniądze zaś będą pewne w samotnej leśniczówce — uspokajał się rządca, dziękując raz jeszcze baronowi uniżenie.

— Naturalnie! — odparł baron. Kiedy ta sprzedaż ma ostatecznie przyjść do skutku? — zapytał od niechcenia.

— Oczekujemy kupca na pojutrze — odpowiedział.

Otrzymawszy wszelkie potrzebne informacje, pożegnał baron rządcę i udał się na spoczynek.

Przestąpiwszy próg swej zbytkownie urządzonej sypialni, mruknął zadowolony:

— Ten stary, głupi leśniczy będzie się pewnie wahał wziąć tak dużą sumę w depozyt, ale ostatecznie będzie to musiał uczynić. Pieniądze te skradnie Ilona, a gdy mi je odda, będzie musiała zapalić leśniczówkę, na wszystkich rogach, tak, aby zaspani mieszkańcy tejże, mieli zaledwie czas ratować zagrożone życie.

Po pożarze postaram się już o to, aby rozsiać wieść, że to leśniczy Herbert nie mógł się oprzeć pokusie przywłaszczenia sobie deponowanych u niego pieniędzy. Skradł je więc, a potem, dla zmylenia pozorów i odwrócenia od siebie podejrzenia, dom zapalił.

Zatrzymał się na chwilę, a później kończył zadowolony:

Jeżeli mi się to choć w części uda, to Herbert pójdzie do więzienia, a żona jego zejdzie na psy. Zobaczymy, jak wtedy wykona swoją groźbę, że mnie na każdym kroku będzie szpiegował. Nie będzie wtedy nawet mógł czynić dalszych poszukiwań za swoją zaginioną córką. Słowem, wszystko ułoży się dla mnie jak najkorzystniej.

Wesołe te myśli ukołysały barona szybko do snu, ale sen ten nie był błogi. Rzucał się niespokojnie po swym wygodnym łóżku. Chwilami wymawiał nazwisko Gerharda, chwilami zaś wymawiał jakieś trwożne zaklęcia i przysięgał Wernerowi, że nie jest winien jego śmierci.

Gdy się rano obudził, czuł się zmęczony i osłabiony. Z jękiem padł znów na poduszki w nadziei, że uda mu się jeszcze zasnąć. Nie udało mu się to jednak.

Zły i zgryźliwy wstał i zaczął się ubierać.

W dwie godziny później był już w drodze do zamku Felseg i namyślał się w jaki sposób nakłonić Ilonę do swych zbrodniczych zamiarów.

ROZDZIAŁ CL.

U celu tęsknoty

Dobra mrs. Snob przygotowywała się właśnie do swej drzemki poobiedniej.

Zdjęła perukę, aby nie burzyć fryzury i owinęła głowę białą wełnianą chustką. Potem zdjęła jedwabną suknię i włożyła wygodny szlafrok, wreszcie wyjęła piękne swe zęby, aby ich nie połknąć we śnie.

Poczyniwszy wszystkie te przygotowania, położyła się wygodnie na kanapie i zaczęła chrapać w najlepsze, gdy nagle obudziło ją wejście starszej córki.

Miss Inez miała w ręku czerwoną różę, odbijającą jaskrawo od jej twarzy. Wyglądała bardzo dziwnie i, nie przeprosiwszy nawet matki za to, że ją zbudziła, padła na krzesło i zapytała:

— No, cóż mama na to?

Pani Snob, nie chcąc się przyznać, że nie zrozumiała pytania córki, odpowiedziała jej również pytaniem:

— Kochane dziecko — zawołała — od kogo masz tę piękną, czerwoną różę?

— Dostałam ją od pana Tulliwera w czasie obiadu — objaśniała ją Inez, przyczem skrzywiona jej twarz wypogodziła się znacznie.

— Jak to romantycznie — zawołała sentymentalnie matka. — O, moje dziecko, jak on cię musi kochać. Poznać to po każdym jego słowie i czynie.

— Czy naprawdę tak mama sądzi? — zapytała Inez w znacznie lepszym humorze, niż poprzednio — przyszłam właśnie w tym celu, aby z mamą o tym pomówić. Co też mama sądzi i Tulliwerze?

— Zakochany w tobie po uszy — odpowiedziała pani Snob — i zapewne dziś lub jutro oświadczy się o twoją rękę.

— A dlaczego tego dotąd nie uczynił? — zapytała Inez zniechęcona — dlaczego tak zwleka?

— Dziecko moje — odrzekła pani Snob patetycznie — musi on przecież czekać na odpowiedź swego ojca, lorda Sommersetshire. Pomyśl, że człowiek z takiej rodziny krępuje się różnymi względami.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Dopełnianka

ul. Mira T.

W	A					
	W	A				
		W	A			
			W	A		
				W	A	
					W	A

1) In. wywczasy.
2) Figura o symetrycznych bokach
3) Znajduje się w kuźni.
4) Należy do aksesoriów ubrania męskiego.
5) Słowianin.
6) Wodospad w górach Polski.

Bilety wizytowe

pod M. T.

Nik Rio-Thecad

K. Trokero

Iwo Szytork-Tyzaln

Odgadnąć zawód właścicieli biletów!

Za rozwiązanie zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, dnia 16 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 26 „Moich Powieści". Logogryf: „Przyszło lato". Łamigłówka: 1) Prater, 2) Krater.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali: p. p. Maria Kozłowska — Katowice, Modzierski Jan — Grudziądz, Dębski Zygmunt — Poznań, Gralewski Antoni — Katowice, „Verte", Michalski Roman — Brodno.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Dębskiemu z Poznania i p. Gralewskiemu A. z Katowic.

ADAM CZEKALSKI

17)

Sen o zemście

— Dobrze — zauważył spokojnie hrabia, wstając — zostawiam cię samą, madame, i odchodzę. Jutro zjawię się tutaj o tej samej porze i, mniemam, iż nie będę zmuszony opowiadać ci się przez pokojową, co i nie przystoi przyszłemu małżonkowi, który pragnąłby z narzeczoną przeżyć i przed ślubem rozkoszne chwile.

Bolesny grymas wykrzywił twarz pani Jadwidze. Nie odrzekła nic, bo tak była tym wszystkim przygnębiona, iż nie była w stanie jednego słowa wyrzec. Toż cały ten misternie latami wznoszony gmach świetnej przyszłości, walił jej się teraz na głowę, przywalał ją swoim ciężarem.

Gdy poważnie zastanawiała się nad całą tą sprawą, doszła w końcu do wniosku, że istotnie tak być musiało, jak hrabia mówił. Więc taki ją żal zdjął, a zarazem gniew na niewiernego i niestałego kochanka, że nie mogąc go utulić, ani opanować, zalała się gorzkimi łzami.

Pod wieczór, rozważywszy raz jeszcze wszystko dokładnie, postanowiła pojechać do króla. Kluczyk od tajemnych drzwiczek do komnaty królewskiej wciąż przecie jeszcze znajdował się w jej posiadaniu.

Lecz i tu czekał ją najsromotniejszy zawód.

— Madame — skłonił się uprzejmie dworzanin, zagradzając jej przejście ku tajemnym drzwiczkom — pani nie może tam wejść.

— Czemuż to? — spytała dumnie, patrząc na intruza z góry.

— Mam rozkaz króla jegomości prosić panią o zwrot kluczyka i... poradzić jej, by posłuchała polecenia danego jej przez hrabiego Manuzziego i nie fatygowała się tu więcej.

Nie było to już w tej chwili dla madame Hedwige niespodzianka, ale gdyby naraz piorun był grzmotnął u jej stóp, nie byłoby jej to bardziej zdumiało, niż owo powiedzenie. Zagryzła więc usta aż do krwi, najwyższym wysiłkiem woli pohamowała się, ale ani kroku postąpić, ani słowa nawet wyrzec nie mogła.

— Monsieur — wyrzekła w końcu, głos jej drżał od hamowanej wściekłości — pan się zapominasz.

Dworzanin skłonił się znowu.

— Madame, powtórzyłem to tylko, co mi rozkazano.

Rzuciła klucz pod nogi dworzanina, odwróciła się i odeszła dumnie, naogół spokojna, ale wewnątrz niej wszystko rwało się bólem i jękiem. Jak doszła do swej karety i co działo się z nią do drugiego dnia, prawie nie zdawała sobie sprawy. Pokojowa tylko objaśniła ją, iż rzucała się na łóżku, krzyczała i zawodziła tak, iż zmuszona była wezwać medyka. Ten dał jej jakieś lekarstwo, mówiąc, że to przejdzie.

Ale chwała Bogu, skoro już wasza miłość dobrze się czuje — zakończyła pokojowa.



Francuskie entuzjastki łucznictwa urządziły niedawno zawody w Paryżu. Oto emocjonująca chwila napinania łuków w obecności tłumu widzów, zebranych na stadionie.

— Czy hrabia był dzisiaj? — spytała madame Hedwige.

— Dotąd jeszcze nie.

— Gdy przyjdzie, masz go wpuścić zaraz do mnie bez opowiadania.

— Słucham, madame.

Pani Jadwiga, przemyślawszy wszystko z należytą rozwagą, doszła w końcu do wniosku, iż opór na nic się tu nie zda. Zwolna rezygnowała z korony królewskiej, ale z miłości króla zrezygnować nie mogła. Poza tym, zaczęła się domyślać, że ktoś tam musiał oddziałać na króla, inaczej i być nie mogło. Ale kto?...

Ta myśl tak bardzo utkwiła jej w głowie, że gdy przybył, jak to dnia poprzedniego oświadczył, hrabia Manuzzi, postanowiła rozpytać go o to. Ale hrabia sam dobrze nie wiedział, odrzekłszy, iż ktoś tam istotnie miał rozmowę z królem, ktoś młody i świeżo przybyły z Paryża.

Manuzzi zastał Jadwigę naogół spokojną i znacznie przychylniejszą dla siebie, niż wczoraj. Nie omieszkał tego głośno wyrazić, mówiąc:

— Widzę, madame, że noc przyniosła dobrą radę. Cieszę się z tego ogromnie, bo tam, gdzie rozkaz królewski wchodzi w grę, wszelki opór jest daremny. I cóż, jakże ja się tobie prezentuję, jako jej narzeczony, a w chwilach najbliższych — małżonek?

— Dość dobrze — odrzekła ze smutnym uśmiechem.

— To i pięknie. Jutro w godzinach rannych przybędzie tu klecha, aby nam związać ręce. I cóż pani na to, madame?

— Ha, cóż robić — le vin est tiré, il faut le boire.

— Słusznie, wszelkie żale na później. Gdyż — les jours se suivent et ne se ressemblent pas.

A pani Jadwiga pomyślała równocześnie: a ja ci pokażę, ty włoski makaroniarzu, że choć się czasy zmieniają — król się nie zmienił. Masz być parawanem i tylko nim zostaniesz.

XXVI.

DRUGI MĄŻ

Punktualnie w terminie przez króla wyznaczonym, odbył się cichy ślub jego kochanki z hrabią Manuzzim i na rozkaz króla małżonkowie wyjechali na miodowe miesiące do... Opsy, gdzie w dwa miesiące później pani Jadwiga urodziła syna.

Pierwszy okres pobytu w Opsie, hrabia Mikołaj spożytkował na zaznajomienie się z majętnościami żony i z ich stanem dochodowym. Po zbadaniu wszystkiego, wezwał do siebie głównego administratora i taką miał z nim rozmowę:

— Waćpan jesteś głównym plenipotentem? — rzekł.

— Nie, wasza miłość, moje plenipotencje upadły wraz ze śmiercią pana starosty opeskiego.

— To nic nie znaczy, ja ci je dam. A wiesz ty, kogo masz w sprawach majątkowych słuchać?... Mnie i tylko mnie jednego. Ktokolwiek inny chciałby ci rozkazywać — psami go wyszczuj.

— Słucham, waszą miłość.

— Tak, psami wyszczuj — powtórzył hrabia. — A teraz, druga sprawa. Ile możesz mi waćpan dać gotówki w ciągu trzech dni?

— Pięć — sześć tysięcy złotych.

— Co? Za kogo mnie waćpan bierzesz?

— Wasza miłość, teraz wiosna, a majętności ogołocone zostały z inwentarza i zbóż przez ś. p. starostę Ciechanowieckiego...

— Ś. p. starosta opeski tak postąpił, jak chciał i to mnie nic nie obchodzi, to była jego rzecz, a moją rzeczą jest teraz żądać, byś waćpan dostarczył mi w ciągu trzech dni conajmniej dziesięć tysięcy złotych polskich w dobrej monecie.

Administrator rozłożył bezradnie ręce.

— To niepodobieństwo, wasza miłość.

— Co takiego? Od czego waćpan jesteś administratorem? Jeśli nie możesz inaczej — sprzedaj zboże na pniu, zastaw parę folwarków, stań nawet na głowie, a pieniędzy dostarcz.

— Postaram się, wasza miłość — skłonił się plenipotent.

Madame Hedwige, której baczności nie uszło zainteresowanie małżonka sprawami majątkowymi, a poznawszy go już nieco, miała pewne niejasne po-



W pawilonie Sowietów, na światowej wystawie paryskiej znalazł się, jakby na ironię, obraz, przedstawiający Stalina w otoczeniu jego dawnych, a dziś już nieżyjących generałów.

dejrzenia co do czystości jego zamilowań w tym względzie — spytała go więc raz o przyczynę tych częstych u niego odwiedzin plenipotentów.

— A ciebie co to znowu obchodzi? — odrzekł jej hrabia. — „Mąż jest głową domu, jak Chrystus jest głową Kościoła“ — co możesz przeczytać u św. Pawła w liście do Efezjan. Dlatego to, co robi głowa domu, nie może i nie powinno interesować „chwastu bujnego“ — jakim jest kobieta według bardzo mądrego powiedzenia św. Tomasza z Akwinu. Masz syna, to go sobie pilnuj, ja ci się tam do jego wychowania wtrącał nie będę.

To rzekłszy, pan hrabia trzasnął drzwiami i kazawszy podać konie, pojechał do Brasławia. Tam pił i hulał w ciągu kilkunastu dni, a gdy wrócił, spał przez kilka dni z rzędu, wstając wtedy tylko, gdy plenipotenci z pieniędzmi przybywali.

Pani Jadwiga, podczas takich wypoczynków małżonka, próbowała nieraz porozmawiać z nim, obrzucić go wymówkami, królem zastraszyć, lecz gdy lokaj oznajmiał mu to życzenie żony — odpowiadał zawsze:

— Powiedz pani, że jestem bardzo zajęty i nie mogę jej widzieć — po czym odwracał się na drugi bok i chrapał dalej.

A gdy raz odważyła się wejść do jego sypialni bez opowiedzenia, porwał go tak szalony gniew, że pohamować go nie mogąc, chwycić kańczug na krześle leżący i przymknąwszy mocno drzwi, zaczął nim łoić madame Hedwige, nie bacząc na sino-krwawe pręgi, jakie bisiorami wykwitły na pięknym ciele.

— Pamiętaj — mówił jednocześnie po każdym uderzeniu — pamiętaj na słowa św. Tertuliana, który powiedział był: „Niewiasto, winnabyś zawsze chodzić w żałobie i w łachmanach, ze łzami skruchy w oczach, aby ci zapomniano, żeś ty zgubiła rodzaj ludzki. Niewiasto, ty jesteś wrotami piekła.“

Madame Hedwige tak była przerażona nagłą napaścią, że wiele czasu upłynęło, zanim mogła pojąć całą grozę tego wypadku. To było dla niej coś tak strasznego, coś tak nieprawdopodobnego, iż uwierzyć nie mogła, aby to rzeczywiście miało być prawdą. Niestety, prawda ta, ponad wszelkie spodziewanie, była aż nadto istotną.

W pierwszej chwili madame Hedwige stała na miejscu, niby w słup soli przemieniona, z oczami szeroko otwartymi, przerażona, niesamowicie po prostu zdumiona, a gdy nieco ochłonęła z wrażenia, zasłoniła się rękami, wołając jednocześnie:

— Brutalu! Bestio!

— Mów tak dalej — odpowiedział jej spokojnie mąż — mnie to wcale nie przeszkodzi sprawić ci należytej łaźni, abyś zasię wiedziała, że jam tu jest głową domu, jak to słusznie napisał św. Paweł.

Po czym, odrzuciwszy kańczug w kąt, usiadł, głęboko oddychając. Po chwili znowu zaczął mówić do napół ogłuszonej małżonki:

— Gdyby zmarły twój mąż ś. p. starosta opeski, sprawiał ci był przynajmniej raz w tygodniu, powiedzmy — w sobotę — taką łaźnię za wszystkie przewinienia tygodnia, nie byłabyś popełniła tych wszystkich ekstrawagancyj, których byłaś heroiną, i zważałabyś była na słowa św. Tomasza z Akwinu, który tak o kobiecie powiedział: „Kobieta jest chwastem bujnym, jest człowiekiem niedoskonałym, którego ciało dlatego tylko wcześniej rozwija się, że mniej ma ono wartości i przyroda mniej się nim zajmuje. Kobiety rodzą się po to, by zostawać zawsze pod jarzmem swego pana i władcy, którego natura, dzięki wszelkiej powadze, jaką go obdarzyła — przeznaczyła do panowania.“ — Żegnam panią, hrabino.

Jadwiga stała, jak chusta blada, wstrząsana wewnętrznym jękiem bólu i żalu, a łzy bezwiednie ciekły jej poprzez palce dłoni, którymi zakryła twarz, po rękach i spadały kropla po kropli na wzorzysty kobierzec na podłodze.

— Płacz, płacz, kochanko — odezwał się znowu mąż. — Żałuj za grzechy całego bujnego swego żywota. Duch pana starosty opeskiego, spoczywającego na brasławskim cmentarzu, pewnie tam śmieje się z radości i uciechy, widząc musztrę, jaką co tylko z tobą odbyłem. I to sobie zapamiętaj, że ilekroćbyś sobie pozwoliła na jakąkolwiek niestosowną uwagę, lub postąpienie — nie omieszkam zaprosić cię w taniec z tym oto panem Rzemiennickim... No, vale, racz uwolnić mnie już od swych łez.

Hrabina wyszła, wstrząśnięta do głębi, przybita tą niesłychaną brutalnością męża, tą napaścią tak nagłą, tak okropną, tak niesłychaną. To, co ją spotkało, przechodziło wszelkie jej wyobrażenie. Jeszcze niedawno sama myśl o podobnej scenie obraziłaby była do głębi jej dumę, jej godność niewieścią. I nagle... Dalibóg — było od czego oszaleć.

W pierwszej chwili, hrabina nic prawie nie rozumiała, nic nie myślała, a jeśli nawet myślała, to myśli były niejasne, rozproszone, przytłumione mściwością, chęcią zemsty, zemsty najkrwawszej, jaka istnieć może. Ale na kim — na kim?

Zaczęła szukać w pamięci najwinniejszego, kogoś, kto byłby najbardziej odpowiedzialnym, najłatwiejszym obiektem do wywarcia pomsty. Więc kto? Może mąż? Ten wyraźnie drwił zawsze z jej gróźb, sam grożąc kańczugiem, aż w końcu groźbę swoją wypełnił w jakże brutalny, w jakże okropny sposób!

Od tego dnia minęło już dni kilka, ale madame Hedwige na wspomnienie owej brutalności męża, czuje jakąś nadmierna gorącość w piersi, gorącość duszących ją łez, wewnętrznego bólu śmiertelnie obrażonej dumy i ambicji.

A jednocześnie rozumie, że wywieranie zemsty na brutalnym małżonku nie może stanowić dostatecznego zadośćuczynienia. Bo cóż on znaczy — martwy pionek? To tylko narzędzie.

Więc kto winien, kto?... — kołacze jej się jedna i ta sama myśl w mózgu. Może król?...

Na wspomnienie tego zdradliwego kochanka, serce kurczy jej się z bólu.

— Bezwątpienia i on winien, on także — myśli madame Hedwige. — Ale niezupełnie, nie całkiem — usprawiedliwia go.

Lecz cóż? Król zbyt wysoko postawiony, by mogła dosięgnąć go zemsta hrabiny, zbyt możny, zbyt jeszcze potężny.

Zatem kto? Kto, o Boże?

I nagle mózg hrabiny Manuzzi rozjaśnia się niby błyskawicą i w pamięci zjawia się postać młodzieńca, raz jeden widzianego w życiu, młodzieńca, który nagle stał się faworytem królewskim, towarzyszem, niemal przyjacielem, a nazwisko jego krwawymi głoskami wyryło się w mózgu madame Hedwige...

Ciechanowiecki... Józef Ciechanowiecki...

(Dokończenie nastąpi.)

ADAM NASIELSKI

11)

Tajemnica
zamkniętego gabinetu

— Rozwiązanie zagadki tkwi w tajemnicy słowa „Ozyrys" — i to jest najważniejsze. Dla spokoju sumienia — do trzech razy sztuka — rozkazuję tobie przeprowadzić formalno-protokularną rewizję w poszukiwaniu Janiny Stokowskiej. Rewizję, która prawdopodobnie zakończy się wynikiem ujemnym. Ja tymczasem pojadę, pomimo zwariowanej pory, do niejakiego pana Mariana Drabickiego i pomówię z nim, a w powrotnej drodze wstąpię jeszcze do prywatnego mieszkania Erazma Stokowskiego i zrobię nader groźną minę przed jego kochającą małżonką, nabytą przezeń za określoną cenę w nieokreślonym celu. Ona nie wie jeszcze, że jej mąż nie żyje.

— Właśnie — przypomniał sobie aspirant. — panowie z prasy warują pod portalem już od trzech godzin i oświadczyli, że nie ruszą się z miejsca. Podziwiam zawsze węch tych ludzi...

— To nie węch tylko wykorzystywanie ludzkiego gadulstwa i skłonności do plotki.

— Jeżeli oni opublikują...

— Nic nie napiszą. Już ja z nimi pomówię.

— Jak mam zachowywac się w czasie twej nieobecności.

— Nic specjalnego. Teren zostaje absolutnie zamknięty. Nikt wejść — i nikt wyjść mówiąc stylem kolonialnym. Nawet obecni policjanci muszą zostać.

— Masz na myśli...

— Wiele rzeczy. Wypełnić rozkazy, panie aspirancie — uśmiechnął się wreszcie Żbik i podał rękę przyjacielowi. — Narazie dowidzenia. Miej swój rewolwer w pogotowiu, mówię to zupełnie poważnie.

— Bernardzie! — uchwycił go nagle Adam za ramię. — Ty już coś wiesz. Inaczej nie opuszczałbyś gmachu banku i nie byłbyś taki spokojny.

— Mądry chłop z ciebie, Adasiu — brzmiała dwuznaczna odpowiedź Żbika — Cześć!

Na korytarzu spokał Stefana i nie zdziwił się wcale jego obecności. Wierny kaszub był bardzo popularny w policji warszawskiej i „chłopcy" wpuścili go bez specjalnej instrukcji. Dał mu znak ręką:

— Skąd cię tu przyniosło?

— Pan inspektor zapomniał rękawiczek...

Detektyw musiał się roześmiać. Niezły pretekst. Spojrzał w grubo ciosaną, a wierną twarz służącego i machnął ręką.

— Może jestem potrzebny, panie inspektorze — jako rzekł pewien aresztant...

— No, już bez twoich kawałów. Skoro już jesteś, mam dla ciebie specjalne, ważne polecenie.

— ?

— Uważaj na pana aspiranta Billewskiego. Jest w tym pokoju, za drzwiami. Bacz aby go nie postrzelono przypadkiem. Pamiętaj... czuwaj nad każdym jego krokiem.

Zostawił zdumionego tą dziwną instrukcją Stefana i skierował się ku szerokim schodom na parter, do hallu. Za sobą usłyszał odgłos szybkich nerwowych kroków i odwrócił się. Ujrzał zastrszoną twarz inżyniera Downara. Sekretarz wyglądał tak, jakby wstydził się dramatu, który zdarzył się w banku, gdzie on był urzędnikiem. Na widok inspektora, którego chciał dogonić, odetchnął z ulgą. Nerwowy człowiek ten Downar — zresztą, dzisiejszego dnia każdy mógł tu być podniecony. Bądź co bądź, banki akcyjne nie są miejscem przeznaczonym na morderstwa — usprawiedliwiał Żbik w myśli.

— Pan chciał czegoś ode mnie?

— Tak, panie inspektorze. Pan już odchodzi?

— Tylko ja. Reszta zostaje. Nie ma pan podstawy do obaw.

— Panu inspektorowi łatwo tak mówić. A ja się boję. Opowiedzieli mi już o... Jerzym Makarskim.

Żbik uśmiechnął się blado.

— Nie dziwię się panu. Ja też się boję. Dwa trupy w ciągu sześciu godzin, to fakt, mogący szarpać nerwy.

— Może i mnie coś grozi?...

Bernard Żbik poczęstował nerwowego człowieka papierosem. Wiedział czem go uspokoić.

— Panu nic nie zagraża, — bo nie wie pan nic o Ozyrysie. W przeciwnym razie byłoby gorzej. Proszę się uspokoić, inżynierze, i wrócić do swego pokoju. Gdzie to pan mieszka?

— Zajmuję dwa pokoje na drugim piętrze. Okna wychodzą na ogród.

— Ale są okratowane?

— Jak wszystkie okna w banku.

— Więc może pan zamknąć się na klucz i czekać bezpiecznie. Pozatem w ogrodzie czuwają dwaj z moich ludzi. Czy ma pan jakąś broń?

— Rewolwer.

— Lepiej go mieć w pogotowiu. Ja wrócę za jakąś godzinę i aresztuję mordercę Erazma Stokowskiego i Jerzego Makarskiego.

— Pan... wie... kto to jest?

— Zdaje mi się, że — tak.

— Więc czemu go nie aresztować odrazu? Mielibyśmy spokój i sprawiedliwości stałoby się zadość.

— Inżynierze, proszę przyznać — Panu chodzi więcej o ten spokój, aniżeli o tę sprawiedliwość. I zupełnie słusznie. Doprawdy, panu nic nie grozi. W niebezpieczeństwie są przede wszystkim ci, którzy znają tajemnicę Ozyrysa. Co zaś do aresztowania — przesądziłem nieco mówiąc, że już znam mordercę. Wyrażając się ściślej, wiem, że on przybywa w banku, lecz nie możemy go znaleźć. Chcę go wywabić i właśnie dlatego wychodzę. Moi ludzie nikogo nie wypuszczają, może panu czegoś potrzeba.

— Tylko papierosów.

— Proszę, oto moje. Kupię sobie na ulicy inne. A tu są zapałki. Tylko nie dziękować... naprawdę drobnostka... Jeszcze jedno... Nie widział pan przypadkiem panny Stokowskiej.

— Nie... Dlaczego?...

— Zniknęła gdzieś. Prawdopodobnie porwał ją morderca i ukrył gdzieś. Może też ona była jego wspólniczką. No, narazie dowidzenia. Głowa do góry!

Inżynier Edward Downar uspokoił się. Słowa Żbika podziałały nań wzmacniająco. Uścisnął rękę, podaną mu przez inspektora, jeszcze raz podziękował za papierosy i zapałki i wolnym krokiem skierował się wgórę, podczas gdy Żbik zeszedł do halla i skinął na Kobylańskiego.

— Jak to było z tem krótkim spięciem, Kobylański?

— Normalnie, panie inspektorze. W pewnej chwili zgasło światło. Kłos, który jest byłym elektromonterem wyjął przepalony korek i naprawił go prowizorycznie.

— Dobrze — sprawa ta przestała nagle interesować tetektywa. — Ilu naszych chłopców przybywa obecnie w banku?

— Piętnastu mundurowych z przodowni- zewnątrz. Dwaj od strony ulicy, a Sznajder

i Rogalski od strony ogrodu.

— Nie jesteście głodni?

— Tu jest bufet na miejscu. Otworzyliśmy i sami sobie ugotujemy. Wystawimy oczywiście rachunki.

— Ja myślę! Gdzie jest Franciszek Lipiński?

— Właśnie chciałem powiedzieć. Upił się jak bela i śpi.

— Uważajcie na niego. Ja teraz wychodzę. Uważać mi tu dobrze i nie dopuszczać do alarmu.

„Alarm" — szepnął do siebie Kobylański. Nie rozumiał co to znaczy. Ale Bernard Żbik był już za drzwiami.

Wielki psycholog stał się zagadkowy, jego przyjaciel i współpracownik aspirant Billewski mógłby dużo szczegółów opowiedzieć o tym, symptomatem czego jest zagadkowość u Bernarda Żbika. Oznaczała ona przede wszystkim — że wpadł na ślad.

I tak było istotnie. Lecz — rzecz dziwna — wielki detektyw pragnął szczerze w duchu, aby nie miał racji — bo to o czym pomyślał, było jednak zbyt potworne, nawet dla psychokryminologa.

— Panie naczelniku! Znów wielka gra!

— Inspektorze! Podobno tu...

— Dobry wieczór, panie Bernardzie! Słyszałem...

Uśmiechnął się znów. Podał rękę każdemu z dziennikarzy z osobna, nie czyniąc między nimi żadnej różnicy, pomimo że jednych znał tylko z widzenia i mimo woli, drugich powierzchownie i wbrew woli, a ze dwoma był na bliskiej stopie znajomości i uważał ich za ludzi inteligentnych.

— Zaraz, moi drodzy. Nie wszyscy naraz, bo nic nie rozumiem.

— Podobno...

— Słyszałem...

— Czy to prawda...

Potrząsnął głową z wyrozumiałością, jemu właściwą.

— To ma być osobno! Przecież!... Jeżeli tak to żegnam. Drzwi są zamknięte, nikt nie może być wypuszczony, a chłopcom nakazałem milczeć.

— Dwa razy zajechała tu karetka sanitarna...!

— Tak nie można!

— My tego nie robimy dla siebie!

— Czy pan sądzi, że to należy do rozkoszy ziębnąć tu pod pluchą i potem ganiać na wariata do redakcji i układać maszynopis.

— Linotypiści klną!

— Metrampaż czeka!

— Nawaliłem przez to randkę.

Inspektor nie mógł odejść. Niebezpiecznie jest doprowadzić tych miłych chłopców do ostateczności, bo gotowi podkopać się dla zdobycia informacji dla redakcji.

— Zatem, dobrze. Zamordowano tu...

— Chwileczka, ołówek mi pękł. Nie mógł wybrać się w innej porze.

— Stasiu, pożycz mi papierosa.

— Mareczek zawsze jest correkt. Dawaj, drabie! Masz i tak za dużo.

Podyktował im wreszcie nic nie mówiący komunikat o zabiciu Jerzego Makarskiego przez nieznanych sprawców (umyślnie w liczbie mnogiej.) O Erazmie Stokowskim i Ozyrysie nie wspomniał ani słowem. Znał swoich Pappenheimerów.

— Do widzenia!

— Dobranoc!

— Dziękujemy!!!

Szofer z Komendy Głównej czekał już. Nieoceniony Adaś. O niczym nie zapomina.

— Dokąd, panie naczelniku?

— Na razie przed siebie. Gdy oddalimy się nieco, podam kierunek.

— Rozumiem.

Rozkazał zatrzymać wóz przed apteką na Marszałkowskiej i znalazł w książce telefonicznej oba potrzebne adresy. 1) Mecenasa Mariana Drabickiego, radcy Banku Południowego, z którym, według zeznania świętej pamięci Makarskiego, Erazm Stokowski odbył dziś rano dwugodzinną konferencję i 2) Prywatny adres zamordowanego bankiera.

Podziękował miłej kasjerce, mimochodem zauważył, że zegar w aptece wskazywał już pół do jedenastej i podał szoferowi znany adres. Szybki Chrysler zatrzymał się przed wejściem do Urzędu Śledczego, gdzie dyżurny przodownik zameldował „pana inspektora Bernarda Żbika" do pana dyżurnego sędziego śledczego przy Urzędzie Śledczym. Pełniący tę funnkcje, młody asesor, miły blondyn odbył ze sławnym detektywem krótką konferencję, która polegała właściwie na tym, że słuchał i potakiwał. Pan sędzia śledczy miał twarz niezbyt inteligentną i może nawet nie wszystko rozumiał. Wydał jednak — ależ, proszę bardzo! — inspektorowi żądany blankiet, podpisał go i odprowadził „znakomitego gościa" aż do samych drzwi.

Na parterze, przed wyprężonym, jak poważna struna, policjantem — inspektor zatelefonował jeszcze do doktora Dalczewskiego, wysłuchał siarczystych wyrzutów rozziewanego eskulapa i dowiedział się czego chciał. Wsiadł do samochodu i podał szoferowi adres na Boduena.

W samochodzie odetchnął swobodniej. Rozmowa z beztroskimi, lub na takich pozującymi dziennikarzami i następnie z naiwniutkim asesorkiem, oraz sama jazda nocna, odświeżyły same przez się umysł detektywa, przygnębiony atmosferą zbrodni i sześciogodzinnym pobytem we mgle tajemnicy i grozy Banku Południowego. Teraz mógł rozważać o wiele swobodniej i postanowił sobie, że na przyszłość, w razie zmęczenia śledztwem będzie stosował takie wypady bocznotorowe. Inteligentny człowiek uczy się przez całe życie...

Poza tym, nie zmarnował czasu. Zarówno wizyta w Urzędzie Śledczym, jak i obecnie zamierzone są niezbędne i konieczne dla zamknięcia kręgu niesamowitej teorii o zbrodni w Banku Południowym, jaka zabłysła w mózgu genialnego detektywa. Naprawdę, bał się dosłownie swojej własnej tezy i tego, co w jej konsekwencji musiało nastąpić. Wiedział jednak, że nie cofnie się. Nie myślał zresztą o takiej ewentualności w tej chwili.

Wyjął z kieszeni swój safianowy notes i zapisał w nim kilka ważnych uwag. Pióro „nie chciało" po prostu posuwać się po papierze. Do licha! — taka historia. Prawie niemożliwe — ale właśnie dlatego jedyne — wyjście.

Gdy Chrysler z zieloną strzałką zatrzymał się przed domem, w którym zamieszkiwał adwokat Marian Drabicki, radca prawny Banku Południowego — zegar na desce rozdzielczej przed szoferem wskazywał punktualnie za kwadrans północ. Nie była to w żadnym wypadku pora odpowiednia dla składania wizyt prawnikom lecz Bernard Żbik nie przejął się oczywiście takim skrupułem i wysiadł sprężystym krokiem, polecając szoferowi zaczekać.

Spojrzał na drobną i estetyczną tabliczkę adwokata i bez wahania nacisnął guzik, przywołując dozorcę.

XIII.

Promień w mroku.

Nie zważając na zdziwione spojrzenie rozkazał zaprowadzić się do mieszkania „pana mece-

nasa. Otworzyła mu drzwi zaspana i pachnąca ciepłem służąca, która potem okazała się panią mecenasową. Usłyszawszy słowa „policja śledcza“, struchlała i to był właśnie pierwszy powód dla którego Bernard Żbik nie pomyślał, że jest to żona adwokata. Dlaczego ten miałby się obawiać policji?

Po blisko dziesięciominutowej rozmowie i konsternacji udało mu się wreszcie jako tako wyjaśnić z czym przychodzi. Ale dama nie uwierzyła mu wcale, jak zauważył. Na jego legitymację służbową nie chciała nawet spojrzeć i zostawiwszy go niezbyt grzecznie w przedpokoju, zamknęła dalsze drzwi za sobą i ukazała się już po kilku minutach z całkowicie ubranym panem w średnim wieku o typowym, skoncentrowanym spojrzeniu prawnika. Ten spojrzał na inspektora, nie bez ludzkiej obawy, i skłonił się w milczeniu.

Jestem inspektor Żbik z Centrali Służby Śledczej. Moja... wizyta, może się wydać nieco dziwaczną ze względu na porę — zmuszony jednak jestem okolicznościami i przeto...

Wyjaśnił ogólnikowo cel swego przybycia i został już grzecznie zaproszony do gustownie i nowocześnie umeblowanego, czyli prawie bez mebli — gabinetu. Było tu miło i przytulnie. Przy jednej ścianie nieodzowna szafa z kodeksami, małe biurko, lampa, telefon i reprodukcja Rubensa nad lustrem. Niezbyt fortunne miejsce, wybrane, może po to aby usprawiedliwić częste przeglądanie się w zwierciadle... rzekomą kontemplacją nad arcydziełem sztuki. Jeżeli tak — to wcale sprytne.

Adwokat usiadł za biurkiem z urzędową miną i poczęstował Żbika papierosem. Nie przemówił pierwszy i czekał — jakby miał przed sobą zafrasowanego klienta. Oto, co znaczy zawodowa rutyna. Ale i detektyw Żbik nie należał do głupców. Może to był szczegół zupełnie odrębny, ale zastanowiło go, zupełne, kompletne ubranie adwokata, podczas gdy żona — jak się ku swemu zdumieniu dowiedział przed chwilą — już spała na dobre i w domu były pogaszone światła...

— Pan mecenas pracował, jak widzę. Przeszkodziłem — zaczął szablonowo, albowiem szablon jest niekiedy sprytniejszy od samego sprytu.

— Nie pracowałem. Gdyby pan przyszedł za pięć minut — jużby mnie nie było. Właśnie chciałem wyjechać.

Ciekawe...

— Chciał pan, więc teraz już nie?

— Trudno, na ten pociąg już nie zdążę — pana nie wyrzucę, bo nie wpadł pan na zwykłą pogawędkę — a następny odchodzi dopiero rano. Więc...

— Rozumiem.

Zastanowił się, czyby nie zapytać o związek — jeżeli jaki zachodzi — między wyjazdem adwokata, a dzisiejszą konferencją w banku. Bądź co bądź wyjazd prawnika i to... Chyba, że z żoną pożegnał się już przedtem i nie chciał jej budzić. To się zdarza. Inspektor musiał pamiętać, że rozmawia z prawnikiem, z adwokatem, znał drażliwość tych panów na punkcie legalizmu i postanowił wystrzegać się zbyt daleko skraczających pytań.

— Pan zna Erazma Stokowskiego?

— Jestem jego radcą prawnym.

— Jak już przedtem wspomniałem, przybyłem w związku ze zbrodnią popełnioną w Banku Południowym.

— Kto został zabity?

— Sekretarz Jerzy Makarski.

— Lecz co ja mam z tym wspólnego? Przypuszczam, że tylko ważne okoliczności skłoniły pana do nachodzenia mnie o tak niezwykłej porze.

— Bardzo ważne. Chodzi o ujęcie sprawcy mordu. Przybywa on dotychczas w gmachu banku.

— I... zdziwił się Drabicki. — Nie rozumiem.

— Potrzebne mi są od pana niektóre wskazówki dla jego identyfikacji.

— Jak to? Ujął go pan i ja mam stwierdzić jego tożsamość.

— Niezupełnie. Podejrzewam o współudział w tej zbrodni... dyrektora Stokowskiego.

— Co?!!

— Spokojnie panie mecenasie. Na tym świecie wszystko jest możliwe.

— Ale...

— Chwila. Niech mi pan pozwoli wyłożyć jasno całość tego, co mogę powiedzieć. Obok ciała zamordowanego znalazłem tę figurkę.

Tu wyjął z kieszeni otrzymany pocztą czarny posążek Ozyrysa i wręczył adwokatowi.

— To jest miniaturka egipskiego bożka, Ozyrysa. Czy pani coś o tym wie?

Obserwował uważnie twarz indagowanego i odrazu dostrzegł krótkie, błyskawiczne drgnięcie mięśni i fałd koło ust. Nie ulegało wątpliwości że radca banku wiedział coś o Ozyrysie. A o to przecież chodziło i Żbik nie odczuwał naturalnie wyrzutów sumienia z powodu swych kłamstw. Szukał po omacku — musiał przecież.

Ozyrys — szepnął adwokat. — Nie, to niemożliwe!

— Co jest niemożliwe?

— Erazm Stokowski nie zabił, ani nie współdziałał w zabójstwie Makarskiego. To Jerzy Makarski chciał obronić swego szefa przed Ozyrysem.

Bernard Żbik znieruchomiał. Teraz nic — tylko cicho i czekać. Zegar tykał spokojnie. Wokoło lampy hasała jakaś mucha, skazana na śmierć. W pokoju panował półmrok, a w kątach czychały miękkie cienie. Żarówka odbita od reflektora oświetlała twarz adwokata. Oblicze detektywa pozostało w cieniu. Rozmyślnie się tak usadowił. Jak tu cicho — ale jakoś inaczej niż przedtem, napewno. Coś wisi w powietrzu.

— Kto jest Ozyrysem, panie mecenasie. Przecież pan wie.

— Nie wolno mi nic mówić bez upoważnienia Stokowskiego. Jestem jego adwokatem, pan rozumie? Tylko niezwykłe okoliczności mogą mnie nakłonić i zwolnić od obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej.

Bez nerwów. Jesteśmy na drodze. Już wiemy, że ktoś coś wie. Tego adwokata oczywiście nie można zahukać. To nie jest kobieta, ani przeciętny świadek. Najważniejsze, że istnieje możliwość. A to jest pierwsze. Reszta już nie przedstawia takich trudności. Wyłom psychiczny już gotowy, — tylko jedno, dwa słowa. Morderca nie ucieknie z Banku Południowego. Pilnują go dobrze. Adaś, Stefan, fenomenalny Kobylański, Wielgus, Więcek i kraty w oknach i zamknięte drzwi, jedyna...

— Czy śmierć Erazma Stokowskiego byłaby dostatecznym powodem nakazującym panu powiedzieć mi prawdę.

— Ja nie kłamię nigdy, inspektorze. Stwierdzenie obowiązku zachowania tajemnicy, nie jest kłamaniem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 11 lipca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Dzień Morza w Gdyni (przez Toruń) 12.15 Koncert —transmisja z Parku Helenów w Łodzi 13.25 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej 14.40 Audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Melodie operetkowe 17.00 Słuchowisko — „Świeczka zgasła" 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie (z Wilna) 20.00 Piosenki (płyty) 21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni 21.01 Dzień Morza w Gdyni — reportaż 21.10 Rewia letniskowa — „A czy znasz ty bracie młody" 22.00 Koncert wieczorny.

Poniedziałek, dnia 12 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 „Odżywianie w czasie żniw" — pogadanka 12.25 Orkiestry Gwardii grają — (płyty) 12.40 Od warsztatu do warsztatu „Białoskórnictwo" (z Wilna) 16.15 Recital fortepianowy Stanisława Nawrockiego 16.45 Zagadkowi ludzie: „Kacper Bekiesz" — felieton 17.00 Koncert Wileńskiej Orkiestry 18.05 Lekkie duety instrumentalne 19.00 Audycja strzelecka. 20.00 Muzyka lekka i taneczna 22.00 Miniatury kwartetowe 22.35 Muzyka kameralna.

Wtorek, dnia 13 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej 16.00 „Podwieczorek pod lipą" — ze Lwowa 16.20 Dawne formy taneczne — recital fortepianowy 16.45 Lato w Gościeradzu — felieton — 17.00 Muzyka 18.15 Muzyka operetkowa 19.00 „Za Króla Stasia" — koncert 20.10 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert solistów.

Środa, dnia 14 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 „Wieczne żyto" — pogadanka 12.25 Orkiestra salonowa 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki K. H. Rostworowskiego 16.15 Pieśni w wykonaniu chóru męskiego „Hejnał" z Brzezin (z Katowic) 16.45 „Psychologia żołnierza w literaturze polskiej" — odczyt 17.00 Recital Mieczysława Szaleskiego 17.25 Pieśni francuskie 18.15 Marian Anderson i Beniamino Gigli śpiewają 19.00 Słynni dyrygenci 20.00 Koncert 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Róży Etkinówny 22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry P.R.

Czwartek, dnia 15 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 „Pierwsza pomoc przy skaleczeniach zwierząt" — pogadanka 12.25 Koncert orkiestry mandolinistów 16.15 Muzyka salonowa 17.00 Koncert solistów 18.15 Orkiestra jazzowa Eugeniusza Wolffa 19.00 „Poznać siebie trudno" — nowela B. Prusa (z Torunia) 20.00 Muzyka lekka i taneczna 22.00 Gra Gasper Cassado — płyty.

Piątek, dnia 16 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego 16.15 Pieśni regionalne chóru mieszanego „Oktet" (ze Lwowa) 16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z wystawy paryskiej 17.00 Koncert solistów 18.10 Melodie Offenbacha 19.00 Muzyka lekka i taneczna 21.45 „Poezja szumi morzem" — kwadrans poetycki 22.00 Koncert orkiestry wileńskiej.

Sobota, dnia 17 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Utwory Moniuszki — koncert 16.00 Słuchowisko — „Królewicz i żebrak" 16.30 Koncert orkiestry Adama Hermana 17.15 Orkiestra kameralna pod dyr. Zbigniewa Dymka (z Katowic) 17.50 Katowice w oczach turysty" — pogadanka 18.15 Chór Dana i Eryana — płyty 19.00 „Od wyśnigo końca Żywieczczyzny płynie Soła" — audycja podhalańska 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą — „Tam, gdzie są nasi rodacy" 21.05 Muzyka taneczna.

HUMOR

GŁOWA I NOGI

— Dlaczego pan Iks doszedł do tak wysokiego urzędu? Czy istotnie ma tęgą głowę?

— Głowę? Do tego, aby „dojść" wystarczają tęgie nogi.

20 WIEK

Ojciec, wychodząc z rodziną na spacer, do dzieci:

— Kazik, ty będziesz uważał, żeby na nas jaki samochód nie najechał, Zośka, patrz w dół, żebyśmy do rowu nie wpadli, a ty Stasiu, uważaj, żeby nam na głowę nie spadł aeroplan!

W KOMISARIACIE

— Czy małżonka pańska włada językami?

— Co prawda tylko jednym, ale ten jeden starczy za tuzin.

ON TEGO NIE JE

— Człowieku, zbierasz trujące grzyby. Tego się nie je....

— Eee tam: to nie do jedzenia, to na sprzedaż...

PAN MECENAS

Adwokat w zapale krasomówczym:

— ...tak, wysoki sądzie, mój klient jest faktycznie złodziejem. Ale mimo to należy mu się wyjątkowo łagodna kara. Bo nawet jako złodziej spełnił on swój obywatelski obowiązek i kradł wyłącznie wyroby krajowe.

KRYZYS ZAUFANIA

W pewnej restauracji w Nowym Jorku wisi tabliczka z następującym napisem:

„Wiemy, że pański czek jest dobry, ale nie mamy zaufania do banku".

MORYCEK

Po wykładzie o zgubnych nałogach nauczyciel pyta Morycka:

— Powiedz mi teraz jak się nazywa człowiek, który po całych dniach przesiaduje w knajpie?

— Restaurator, panie profesorze.

NA OKRĘCIE

— Niechże pan, panie kapitanie opowie, czy też zdarzyło się kiedy coś bardzo niebezpiecznego w pańskiej podróży.

— O, tak. Raz o mało com się nie zaręczył.

ZAGALOPOWAŁ SIĘ

— O której wróciłeś wczoraj do domu, stary pijaku? — zapytuje pani Dyndalska męża.

— O jedenastej, ale ten mój przyjaciel Zalewajski wrócił do domu dopiero o czwartej nad ranem.

— Skąd wiesz o tym?

— Jakto skąd? Sam go przecież odprowadzałem.

ZNUDZONY

— Znudziło mi się już to życie małżeńskie.

— W takim razie postaraj się o rozwód.

Rozwodzenie się jeszcze bardziej mi się znudziło.



— Ej, czy warto wchodzić do sowieckiego pawilonu na wystawie paryskiej? A nuż przyjdzie nam wyjść w podobnych, a zgoła nieupragnionych akcesoriach...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie